Nr. 4. Lwów, dnia 1. Kwietnia 1893. Rok XVI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z zatargów rodzinnych i z ekonomii łowieckiej.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

III.

Niemal wszystkie lasy posiadają sporadycznie rozrzucone dzikie jabłonie i grusze, jednak te, w kulturze sadowniczej tak chciwie uszkadzane gatunki drzew, wyjątkowo tylko uszkadza zwierzyna wśród lasu. Czem jest zając dla sadów, ilustrują niektóre okolice u nas, gdzie pomimo bardzo szczupłej ilości tych zwierząt, prawie niepodobną jest rzeczą utrzymanie szczepów w stanie nieobwarowanym. Właściciel sadu, który podczas zawalnych zim zapomniał o radykalnych środkach ochrony, nie pocieszy się widokiem, jaki mu się z wiosną odsłoni. Zając jest w tym kierunku tak niezrównanym mistrzem, iż jedna lub kilka sztuk tych zwierząt potrafią wśród sadów wyrządzić taki ogrom szkody, że ktoś nie znający się na rzeczy, mógłby go całym stadom przypisać. Ten zacięty sadów nieprzyjaciel nie przepuści żadnemu gatunkowi drzewa i objada najprzód najmłodsze pędy i pączki, a potem pęd szczytowy, następnie zaś, wsparty na śnieżnej wydmie, staje na tylnych skokach i wyciąga się jak struna, aby dostać zwieszające się gałązki drzew starszych, przyczem cieńsze ścina a grubsze ogołaca do szczętu z kory i warstw miazgowych. Idąc do coraz to grubszych gałęzi, pozostawia jeszcze i tam ślady swych siekaczy, niby ślady cięć siekiery, którą zamierzono przyspieszyć wysychanie drzewa.

Wszystko to jednak są szkody, którym intenzywna kultura sadów skuteczne może położyć zapory. Inaczej nie wyrastałyby tak prześliczne sady, właśnie w tych lesistych i w zwierzynę bogatych krajach, których przykład mamy na Austryi górnej. W tym pięknym kraju lasów i sadów, 30% ogólnej powierzchni pokrywają lasy, a wśród reszty kultury zajęły sady przeważnie gospodarskie stanowisko. Owoc ich, oprócz tego, iż jest przedmiotem znacznego handlu, stanowi zarazem materyał do wyrobu tak rozpowszechnionego tam jabłecznika, rugującego poniekąd gronowe wina.

O ujemnej roli zwierzyny w kulturze rolnej wiedział już bardzo dobrze patent o polowaniu z r. 1786, a §§ 12 i 13 d o z w a l a j ą odpędzać zwierzynę od kultur, niemniej n a d a j ą właścicielowi gruntów p r a w o ubezpieczenia pól zapomocą płotów, parkanów, rowów itp. Był to już postęp nielada w porównaniu do niedawnej przeszłości, idący w ślad za zniesieniem poddaństwa wobec istniejącego jeszcze prawa polowania na obcym gruncie, zniesionego w Austryi dopiero w r. 1849, postęp, podnoszący uszkodzenie kultur ogrodowych do rzędu kwestyj prawnych.

Kraj nasz, w którym reformy społeczno-ekonomiczne, poprzedzające pojawienie się kwestyi szkód polnych, przepro-

wadzono o 67 do 68 lat później, niż na zachodzie monarchii, w kwestyi tej niemal pustą posiada kartę, be niedawno dopiero obudzony postęp na polu łowiectwa nie dał jej wzróść do znaczenia podobnego, jak na zachodzie. Szkodliwą dla łowiectwa byłoby rzeczą wysilać się na oczyszczanie zwierzyny z win, jakie jej doświadczenie różnych czasów i ziem zarzuca, a mówię tu tylko o zwierzynie pożytecznej (według ustawy), przemilczając brutalnego szczeciaka, potępionego już tak mocno w jozefińskim patencie. Winowajca ten, już przeszło od stu lat na karę śmierci zaocznie skazany, brutal ten kultury rolnej, wyrządza jeszcze i w naszych czasach w wielu okolicach okrutne spustoszenia. Ze zwierzyny pożytecznej pozostają dla nas tylko sarny i zające, bo owe rarytasy z rodu jeleniowatych, o ktorych najwięcej się mówi przy uszkodzeniach polnych na zachodzie, daniele i jelenie, nie mogą u nas wzbudzić zawiści nawet w największym nieprzyjacielu łowiectwa. Jeśli zaś prawie na etacie wytępienia pozostający dotąd ród jeleni dojdzie kiedyś do jakiegoś znaczenia, to będzie zadaniem przyszłych pokoleń obmyśleć sposoby nieszkodliwego utrzymania i rozmnoży tego najwspanialszego zwierza naszych lasów górskich.

Co do szkodliwości sarn i zajęcy w kulturze rolnej, panują również rozmaite wyobrażenia, zależne po największej części od tego, czy sędzia tylko do myśliwych lub do rzędu zagorzałych agronomów się zalicza. Z zapatrywaniem przedmiotowem rzadko się tu spotkać można, i jak zwykle silniejszemi bywają głosy potępienia, jako głosy rzekomo pokrzywdzonych, niż tłumiona świadomością winy obrona. W naszym kraju, gdzie i zwierzostany nie są w ogólności tak świetne i wyobrażenia o znaczeniu szkód niejasne, mało gdzie kwestya stąd powstająca występuje przed forum sędziego, a gdy to ma miejsce, natenczas oskarzenia bywają tendencyjne i podnoszą lada błahostkę do znaczenia jakiejś wielkiej sprawy socyalnej, wyśrubowując ją na stanowisko obrony praw ludu. Zbyt często *parturiunt montes* a *nascitur ridiculus mus*, bo w obec ogromnych nieraz szkód, jakie wyrządzają dziki w polu, zwierzostany, o ktoych mowa, nie mogą u nas zbyt szkodliwie wystąpić w kulturach rolnych, a szkody nieznaczne, które tu i ówdzie się pojawiają, osobliwie w okolicach gdzie zwierzostan sarn zbytecznie się rozmnożył, nie są wcale tak zastraszające w obec §. 15 patentu 1786 i §. 4 utawy z d. 30. stycznia 1875, a wreszcie §. 5 i 6 patentu z dnia 7. marca 1849.

Przy racyonalnie urządzonem łowiectwie sarniem z pewnością nie będzie powodów do jakichkolwiek nieporozumień, co się zaś tyczy zajęcy, stanowiących zazwyczaj w krajach wysoko w kulturze posuniętych główną wagę łowiectwa, nadające mu szczególne znaczenie ekonomiczne, to muszę się tu choć pobieżnie zastanowić nad całym katalogiem przestępstw i zbrodni, jakie przypisują zającowi agronomowie. Toż przecie i Brehm uznał zająca za zwierzynę więcej szkodliwą niż pożyteczną. A czemże ten biedny szaraczysko zasłużył na takie potępienie? Oto powiadają (Löbe Tom I str. 238): zając spasa zasiewy jare, oziminy, wygryza aż do korzenia liście ośrodkowe rzepaku, w lecie przegryza na półtora łokcia szerokie ulice w zbożu stojącem. Inni mają mu za złe, iż podczas długo trwającej parkotni wytłacza swemi harcami ziemiopłody itp. Do tego katalogu mógłbym jeszcze i ze swej strony coś dodać, o czem niezawodnie zapomnieli przez zbyt powiększające szkła patrzący koledzy zawodu. Ale nie chcę dolewać oliwy do ognia! Owszem, patrząc na świat a w szczególności na szkody zająca zwykłem trzeźwem okiem, gdyż takowe do badania drobnowidzowego wcale się nie nadają, muszę stwierdzić, że w całem mojem życiu nie spotkałem się ze skargą na szkody zajęcze w polach, a słyszałem nieraz głosy tęsknoty za tym rzekomym szkodnikiem, który jakoś nie chce wśród pól naszych rozgospodarować się w ten sposób jak na zachodzie.

Otóż powie ktoś, że to nic dziwnego, iż z powodu zbyt szczupłego zwierzostanu są takie tęsknoty, bo nie ma i szkód widocznych. Lecz rzecz się ma inaczej. Powodowany ciekawością zaglądałem ja i na takie łany, gdzie są istne eldorada polnych zajęczych łowów, gdzie pada tyle zajęcy corocznie, iż cyfry łowieckiej zdobyczy wprawiają umysł przeciętnego łowcy galicyjskiego w podobny rodzaj oszołomienia, jak astronomiczne cyfry przestworów niebieskich. I cóż tam spostrzegłem? Oto, że szkody w polach od zajęcy na tysiące liczonych, są znacznie mniejsze, niż korzyści z łowów.

Że żywność swą pobiera zając polny li tylko na polu, o tem zdaje mi się nikt powątpiewać nie będzie, w szczupłych jednak rozmiarach ukazująca się szkoda w porównaniu do ilości zwierza, każe się już domyślać, iż żer zajęczy wśród pól stanowią przeważnie chwasty, lub mniej ważne części roślin uprawnych, albo uszkodzenia ziemiopłodów przypadają na czas, w którym siła wegetacyjna zaciera dokonane uszkodzenia bez pozostawienia śladów. W każdym przeto razie potępienie zajęcy przez przyrodników jest nieco za śmiałe, a na wszelki wypadek za wczesne, bardzo mało bowiem wiemy o sposobie wyżywienia się zajęcy w stanie dzikim wśród pól, tak, iż najwięksi nieprzyjaciele tych zwierząt nie są w stanie wyspecyfikować polnego *menu* szaraka.

Być może, iż wyobrażenie moje o szkodach zajęcy polnych jest mylne, i że dalsze rozpatrywanie i badanie przedmiotu stanowczo wykaże nieekonomiczną stronę hodowli zajęcy na polach lepiej, niż to czynią gołosłowne dzisiejsze dekrety; wszakże dla nas myśliwych pozostaje na dziś tylko to skromne życzenie, abyśmy pośród intenzywnej kultury rolnej i wśród bogatej ludności posiadali takie zwierzostany polnych zajęcy, jak to ma miejsce gdzie indziej — aby puste dotąd zazwyczaj kasy gminne zasilały się wysokiemi czynszami dzierzawnemi gminnych obszarów łowieckich i aby ci, co chcą i potrzebują użyć rozrywki myśliwskiej, bodaj za drogie pieniądze mogli się zabawić i otrząść z pyłu kieratowej pracy w murach miasta.

W stanie nie dziewiczej wcale, lecz owszem, srodze szarpniętej natury lasu, niedbałej uprawy ziemi, problematycznej ochrony własności polnej, wśród niedomordowanej zwierzyny, jak to niestety jeszcze w wielu okolicach kraju ma miejsce — odszukiwanie szkód zwierzynnych byłoby albo próżnym trudem, albo co najmniej niewczesnem nastawianiem sieci na drobne muszki, podczas gdy zjadliwe szerszenie roją się obficie, urągając wątłej tkaninie użytych środków ochronnych.

Zwracając się do ogólnego znaczenia szkód zwierzynnych w kulturze ziemiańskiej, dodam jeszcze, iż częste śledzenie dziennego życia zwierza nauczyło mnie wiele, a zarazem wyrobiło we mnie to silne przekonanie, iż zbyt mało o tem życiu wiemy i wiedzieć możemy, bo myliłby się każdy, ktoby z pojedyńczych spostrzeżeń wyprowadzić chciał ogólne wnioski o życiu rodu całego. Pod pozorem rodowej jednostajności kryją się tam odrębności charakterystyczne, indywidualizm w drobnych objawach. Okoliczność ta w połączeniu z rozmaitemi czynnikami zewnętrznemi, jest przyczyną różnorodnych zdań, a specyalnie rażących sprzeczności w ocenie szkodliwości zwierzyny w kulturze ziemiańskiej.

Długo i mozolnie musi się jeszcze wytężać badawczy umysł, długo wpatrywać oko, by uchwycić objawy tej wsty-

dliwej karty natury, aby się w końcu chociaż domyśleć znaczenia tych początkowych liter, które zmysły nasze podchwycić zdołały.

W równych według naszego pojęcia stosunkach bytowych, różni się zwierzyna co do swej szkodliwości. Podnoszę tu jeszcze raz ten początkowo wypowiedziany aksiomat, zwracając uwagę na inne momenta, które obok już omawianej indywidualności, stającej się z czasem dziedzicznym typem, wpływają w rozmaity sposób na rozmiar i znaczenie szkód. Do takich momentów należą zmiany pór roku, atmosferyczne zmiany dzienne, a wreszcie i stosunki naprężenia elektryczności atmosferycznej. Doświadczono np., iż pora dżdżysta najbardziej sprzyja uszkodzeniom, a podczas burzliwego stanu atmosfery uszkodzenia przez zwierzynę dokonane stają się w równych zresztą warunkach najdotkliwszemi. Objawy te po części znane są w szerokich kołach ziemiańskich; niemal każdy wieśniak wie o tem, iż najsmaczniej, pasie się bydło „z rosą", a zauważałem sam niezliczone razy iż wobec zbliżającej się burzy, bydło i konie z największem łakomstwem spasało miejsca, w porze innej zaniedbane. Być może zatem, iż owe miryady przewodników elektryczności ziemskiej, jakiemi są kończyny traw, nabierają w chwili takiej, jakiegoś specyalnego przysmaku, o którym my nic nie wiemy, że chwila taka budzi jednak i zarodki śmierci, bo ozonizowane powietrze powołuje wówczas do czynu i strasznego (dla przeżuwaczy szczególniej) lasecznika wąglikowego, (*bacillus anthracis*). Wypadki nagłego pojawienia się wąglika w rozmaitych formach zdarzają się zbyt często, właśnie wśród gwałtownych wyładowań elektryczności, a lud wiejski, drzypisując powody wystąpienia tak zwanej „krzyżowej krwi" u bydła, będącej jedynie odrębną formą zarazy wąglikowej, wyjątkowo smacznemu stanowi paszy, której najmniejszy kąsek zaszkodzić może, daje w tej mierze cenną wskazówkę.

W porze letniej mieści w sobie przyroda lasu największą ilość środków nieszkodliwego wyżywienia — jednak w lesie nowoczesnym ilość ta, w porównaniu do zwierzostanów o tyle uszczuplała, iż chcąc utrzymać zwierzostany bez szkodliwego wkraczania tychże w ustrój lasu, muszą być poniesione pewne ofiary na rzecz wygodnego i różnorodne pokarmy zawierającego siedliska.

Ilość zwierza, normująca się na podstawie stosunków wyżywienia, jakie w lesie podczas pory letniej panują, stanowi najwyższą granicę zwierzostanu. W większych rozmiarach zwierzyna stałby się musiała znów plagą swego siedliska i otoczenia, a zbyt przepełniony rewir jakimś ogrodem zoologicznym, chodowla zaś zwierzyny nie gałęzią produktywną, ale nadzwyczaj drogą zabawką. Gdyby zaś miarą zwierzostanów miały być stosunki karmy naturalnej, jakie się w nowoczesnym lesie w porze zimowej znachodzą — musiałby las być pustką dla myśliwego. Wynika z tego samo przez się, iż z jednej strony należy stosować radykalne i trwałe środki do polepszenia stosunków siedliskowych, z drugiej zaś strony podawać karmę sztuczną w porze zimowej, w której już trwałe środki nie wystarczają, zwłaszcza gdy rozmaite nieprzyjazne wpływy klimatyczne uniemożliwiają korzystanie z owych zawsze za szczupłych zapasów pożywienia, jakie las o tej porze kryje w swem wnętrzu.

Ocena siedliska i jego warunków bytowych jest w każdym razie rzeczą trudną i wtenczas tylko posiadać może jakąś wartość, jeżeli ściśle wzięto w uwagę dane miejscowe warunki; szablony z obcych okolic sprowadzić mogą na bezdroża i stać się przyczyną najgorszego wyniku, rodząc zwątpienie i zniechęcenie. W grze, w którą wchodzi tyle najrozmaitszych czynników, gdzie ziemia, chwilowy stan kultury i tysiące innych drobnych działa wpływów, nie mogą obce wzory służyć do praktycznego zastosowania; przyczynić się mogą zaledwo do poparcia doświadczeń miejscowych, przyspieszyć zbliżenie się do prawdy wśród chaosu nie zawsze dających uchwycić się warunków. Bardzo ostrożnie zatem korzystać należy z danych, jakie już pod tym względem wytworzyła praktyka zagraniczna.

W unormowaniu zwierzostanu dla pewnego siedliska uważać należy nietylko na ilość ale zarazem i na stosunek płci i wieku, a błędy tutaj popełnione stają się częstokroć powodem przykrych zawodów. W stosunkach łowiectwa czeskiego, w rewirach po największej części ogrodzonych, liczą przy obfitem wyżywieniu zimowem na 25 morgów 1 sztukę sarny, na 50 morgów 1 sztukę daniela, na 65 morgów jedną sztukę jelenia; pod względem zaś płci, uważają za najkorzystniejszy stosunek u sarn: 50% kóz, 16% rogaczy, 8% szpiczaków, 26% koźląt i koziąt. Siedliska, o których mowa, są oddawna po łowiecku zagospodarowane, a wśród lasów znajduje się znaczny procent (2—5) powierzchni jako ulepszone łąki lub pod uprawą płużną. W porze zimowej odbywa się regularne g n a r o w a n i e zwierza (żywienie).

Racyonalne unormowanie zwierzostanów wprowadza koniecznie na szerokie pole badania siedlisk jakoteż życiowych funkcyj zwierzyny. Otwierają się tu nowe, a dawnemu łowiectwu wcale nieznane drogi, po którychby dojść można do zadawalniającego rozwiązania pytań, pozostawiając na boku przesądy wieków i uprzedzenia doktrynerów.

W obec nieświadomości, co się właściwie w kniei znajduje, a co się znajdować może i powinno, czysta ochrona zwierzostanów nie wchodząca bliżej w rzecz, nie może być jedynym środkiem postępowego łowiectwa. Ochrona sama przez się bez unormowania całości łowieckich stosunków, staje się ważnym i słusznym powodem skarg i żalów, przyczyną pokrzywdzenia innych gałęzi produkcyi ziemiańskiej a co najgorsza pokrzywdzeniem cudzej własności, która na tem polu jest bardzo drażliwą.

Zdarza się często, iż w obec zachowania samych tylko przepisów ochronnych, następuje w pewnych miejscowościach nadzwyczajna rozmnoż zwierza, osobliwie sarn, i zwierz ten w obec zaniechania środków, odwodzących go od wyżywienia szkodliwego, staje się plagą lasów i pól. W takim stanie rzeczy zmiana zazwyczaj następuje raptownie; rozmnożony zwierz, zostawiwszy dotkliwą pamiątkę, marnieje pod wpływem pierwszej ostrej i zawalnej zimy. Dlatego też nie można zanadto napiętnować znaczenia starań około wytworzenia odpowiednich warunków bytowych dla zwierza, osobliwie w tych miesiącach i porach, w których przy zwiększonym stanie zwierza rozstrzyga się Hamletowskie „być lub niebyć" i dla lasu i dla łowiectwa.

O ile niezbędnym był swego czasu 13 ustęp §. 1 ustawy z dnia 30. stycznia 1875 r., traktujący o bezwzględnej ochronie sarn (kóz), a dopuszczający wystrzeliwania tychże tylko za pozwoleniem Namiestnictwa, ze względów g o s p o d a r s t w a ł o w i e c k i e g o, o tyle staje się już podziśdzień powodem zaostrzania się kwestyj spornych wśród lasu i powodem nieprzyjemnych a nieuniknionych formalności. W obec stylizacyi naprowadzonego ustępu ustawy, leśnictwo wcale tu głosu nie ma, i uważane jest za odrębną gałęź gospodarstwa, chronioną osobym patentem. Jedynie na mocy §. 4. naprowadzonej ustawy można dopiero wymagać zmniejszenia szkodliwego dla kultury zwierzostanu, a to leży znowu w zakresie działania politycznej władzy 1-szej instancyi. Ponieważ jednak w regule właściciel lasów i kultur leśnych jest

zarazem właścicielem łowiectwa, i trudno, aby inicyatywa do zmniejszenia zbytecznych zwierzostanów z tej strony wyjść mogła, toczy się tu między lasem a zwierzyną uparta walka, a w braku oskarzyciela trudno żądać, aby władza polityczna była dostatecznie poinformowaną, co się w każdym lesie dzieje, i występowała *ex officio* w poruczonym jej zakresie działania.

Wyjątkowe wystrzeliwanie sarn dozwalano dotychczas na podstawie opinii gal. Towarzystwa łowieckiego, lecz podobna procedura nie wystarcza, gdyż zasadnicza kwestya sprawiedliwości jest tu pominiętą. *Audiatur et altera pars*, a dopiero połączone zdania, przy świadomości stosunków miejscowych i liczby zwierza, mogłyby mieć pretensyę do jakiej takiej sprawiedliwości i w samym środku pomiędzy zdaniem myśliwego i leśnika znalazłaby się prawda. Jednak dopóki ciężka mgła niewiedzy pokrywać będzie ilość liczebną zwierza, o którego zmniejszenie chodzi, dopóty i najświetniejszy areopag nic w tym kierunku słusznego zawyrokować nie może, zwłaszcza, gdy zupełnie nieznaną jest owa cyfra, po nad którą zwierzostan jako zbyteczny uważać należy.

Nie chcę tu rozumować nad koniecznością zmiany niektórych paragrafów ustawy, jednak coś tu zrobić potrzeba, aby sarny w myśl ustawy nie umierały chyba ze starości, i aby wyrok śmierci każdej w lesie niepotrzebnej a co gorsza szkodliwej sarny nie potrzebował koniecznie zatwierdzenia najwyższej władzy krajowej. W lasach, gdzie właściciel obojętnym jest na sprawy łowiectwa krajowego, są pustki mimo ustaw, a ustawa zapewniająca bezwzględną ochronę kozom jest w tym wypadku bezprzedmiotowa i do niczego doprowadzić nie może. Do rozbudzenia jakichkolwiek zaczątków racyonalnego łowiectwa trzeba czegoś więcej, a czego nie zdziała zamiłowanie, wiedza i prawdziwy duch obywatelski, zdolny przetrwać ciężkie początki w nadziei spodziewanych w przyszłości plonów, tego nie dokaże żadna ustawa.

Charakterystyczną cechą galicyjskich zwierzostanów jest bardzo niejednostajnie rozdzielony zwierzostan sarn, znajdujący wśród szeroko po kraju rozprzestrzenionej niskopiennej gospodarki leśnej znakomite ostoje, brak zaś uderzający innej zwierzyny mniej dokuczliwej, osobliwie brak zajęcy i kuropatw. Sądzę, iż przytoczeniem cyfr z łowiectwa obcego nie odstręczę nikogo od samoistnego myślenia nad poprawą łowiectwa krajowego; w mniemaniu jednak, że nauczyć się można czegoś i u obcych, pozwolę sobie przypomnieć, iż w królestwie Czeskiem ubijają rocznie przeszło 1200 jeleni, 1500 danieli, około 2000 sarn a przeszło 500.000 zajęcy, podczas gdy u nas od dłuższego już czasu pada rocznie około 5000 sarn i 40—45000 zajęcy, a zatem $2^1/_2$ razy tyle sarn, a tylko $^1/_{12}$ zajęcy.

Pominąwszy tu bardzo nieznaczną ilość zabitych corocznie w Galicyi jeleni i danieli, jakoteż wartość tej zwierzyny corocznie w Czechach ubijanej, a utrzymywanej po największej części w zwierzyńcach magnackich, i przyjmując stałą cenę sarny na 8 zł., zająca zaś na 1 zł. okazuje się przychód roczny w Czechach 516.000 zł., w Galicyi zaś tylko 85.000 zł. za ubite sarny i zające. Cyfry te mówią wyraźnie, jaką drogą poszło postępowe łowiectwo Czech. Gruby zwierz rochmany ograniczył się na obwarowane rewiry magnatów, sarny zastósowano do warunków siedliskowych, główna zaś forsa ekonomiczna łowiectwa polega na biednym szaraku, którego znaczna rozmnoż godzi się łatwiej z kultura leśną i rolną.

Galicya posiada obecnie około 25% ziemi pod lasem, lasy te jednak są bardzo nierówno wśród kraju rozdzielone, bo płaskowyż podolski posiada tylko 10%, nizina północna w dorzeczach Wisły 23%, Karpaty zachodnie 24%, a Karpaty wschodnie 38% ziemi pod lasem. Ogółem jest w Galicyi około 2,000.000 hektarów lasu, w Czechach zaś około 1,500.000 hektarów, wypada zatem na podstawie przytoczonych cyfr jedna sztuka sarny ubitej na 400 hektarów w Galicyi, a na 750 hektarów w Czechach. Nie podaję tych cyfr nato, aby wykazać zbyt obfite nasze zwierzostany sarn w porównaniu do lasów Czeskich, bo do takiego wykazu trzebaby jeszcze wziąć w rachubę wielki zwierzostan jeleni i danieli lasów czeskich i sprowadzić to wszystko do jednego mianownika; owszem, sądzę, że zwierzostan sarn u nas w ogólności mówiąc jest za szczupły, i że tylko pojedyńcze siedliska posiadają w tym kierunku monstrualne zwierzostany. W laskach 200—300 morgowych znajduje się częstokroć nie 8 do 12 sztuk, ale 30 do 40, jest to więc przepełnienie całą grozą ciążące na kulturze leśnej, podczas gdy w innych kompleksach leśnych 2 do 3000-morgowych zamiast 80 do 120 sztuk tego zwierza, spotykamy zeledwo 15 do 20 sztuk.

W tak nierównych zwierzostanach, ukazujących to szkodliwe przepełnienie, to znów szkodliwe pustki i niewyzyskanie tego, co się w inny sposób wyzyskać nieda, leży źródło wielu kwasów.

Właściciel pustej kniei z niechęcią przyjmuje wiadomość o potrzebie zmniejszenia zwierzostanu w jakiejś okolicy, bo „głodny sytemu nie wierzy“, i mówi zaraz o złych zamiarach skierowanych ku wygubieniu rodu sarniego. A przecież konieczność zmniejszenia zwierzostanu sarn bywa częstokroć nieunikniona w normalnym stanie rzeczy i powtórzyć się musi od czasu do czasu w obec istniejącej ustawy i w obec starań racyonalnego łowiectwa. Jedynie tylko w rewirach, w których głód, kłusownik, zwierz drapieżny i nieoględne łowy wyniszczają zwierza, nietylko iż zwierzostan sarn się nie powiększa, ale subtelny i delikatny zwierz ten ulega kompletnej zatracie, i z pewnością nie zajdzie tam kiedykolwiek potrzeba korzystania z pozwolenia najwyższej władzy krajowej.

Ród sarni przedewszystkiem wymaga troskliwej opieki, a bez niej albo w bardzo skromnych tylko utrzymuje się granicach, albo wymiera zupełnie. To też piękne w wielu okolicach kraju zwierzostany sarn najlepsze dają świadectwo o energicznie przeprowadzonej ochronie; są to jednak dopiero pierwsze kroki racyonalnego łowiectwa, dowody cnót łowieckich u obywatelstwa zdawna dziedziczone, lub staraniami gal. Towarzystwa łowieckiego i „Łowca“ świeżo rozbudzone.

A zaiste żleby było ze zwierzyną, gdyby ustawa łowiecka dla kół inteligentnych miała jedynie szereg przepisów karnych, a nie liczyła się z dobrą wolą i poczuciem obywatelskich obowiązków, bo ten, kto się nie liczy z obowiązkami obywatela i nie żywi dobrych chęci dla łowiectwa, potrzebowałby nad sobą chyba argusowych oczu, aby mógł być powstrzymany w nadużyciach. Wyniszczyćby potrafił z pewnością zwierzostan, nie ściągnąwszy na się nawet cienia podejrzenia, i nie podawałby o pozwolenie ubicia kilku sarn. W takich wypadkach nieprzypuszczam też nigdy złej woli, ale przypuścić mogę błędy loiczne lub nieświadomość tego, co się w lesie znajduje. To też niedostatecznem bywa w takich razach skonstatować szkody, jakie faktycznie zwierzyna wyrządziła, bo kilka zgłodniałych i do ostateczności doprowadzonych sarn wyrządzić może kolosalne szkody, zwłaszcza gdy głęboki śnieg pokrył ziemię lasową i tylko wierzchołki roślinek po nad śnieg wyzierają. Jestto w takich razach

jedyny przedmiot, który sarna spożyć może, a wziąwszy na uwagę choćby tylko niezbędną karmę dla utrzymania funkcyj żywotnych, będziemy mogli wyobrazić sobie, jakiej ilości tej kosztownej karmy sarna dziennie wymaga. Nie mając w usposobieniu ani krzty drobiazgowego pedantyzmu, nie ważyłem nigdy ogryzionych przez sarny pędów i wierzchołków, jednak wiedząc, iż 20 klg. ważące zwierzę conajmniej 600 gramów karmy dziennie na utrzymanie życia potrzebuje, mogę sobie w przybliżeniu wyobrazić, jaka ilość drzewek paść musi dziennie ofiarą jednego zgłodniałego zwierzęcia, zwłaszcza, że nie każdy pęd bywa spożyty i bardzo wiele uciętych wierzchołków można znaleść w nietkniętym stanie na ziemi. W wypadkach takich zdawałoby się, iż istnieje rzeczywista podstawa do brutalnego wkroczenia w szkodliwy stan rzeczy, a jednak nieoględny w tym razie wyrok trafia niewinnego. Kombinacye na podstawie cyfr powyższych i wagi ogryzionych pędów przekonać mogą każdego, iż wcale niewielki zwierzostan sarn wystarcza w takich warunkach do wykonania ogromnego zniszczenia.

Otóż chcąc w obec szkód przez zwierzynę dokonanych dojść do sprawiedliwego osądzenia rzeczy, należy oprócz rozpoznania warunków siedliska znać także ilość zwierzostanu. Ogólniki „dużo“ lub „mało“, tak często nadużywane, nie mogą doprowadzić do żadnego celu. A pominąwszy już ten specyalny powód do obliczenia zwierzostanu sarn, niezbędnem jest policzenie i zapoznanie się ze stosunkami płci i wieku sarn, bo tylko to stanowi racyonalną podstawę do dalszego chowu zwierzyny i użytkowania z tejże. Nie są to rzeczy zbyt trudne; przy cokolwiek dobrej chęci, dadzą się przeprowadzić z dokładnością, wystarczającą dla celów praktycznych. Na pierwszej dobrej ponowie kontrola tropów przedsiębrana o jednej godzinie we wszystkich oddziałach kniei przez tylu ludzi, ile jest oddziałów, pouczy o liczbie znajdującego się zwierzostanu, a lizanki i jasła, lub też inne miejsca, w których się zwierz zwykł gromadzić, podadzą nietylko sposobność kontroli powyższego obliczenia, ale zarazem posłużą do rozpoznawania wiekowego i płciowego stosunku. Cenne te spostrzeżenia wytłumaczą niejedną dotychczasową zagadkę i wskażą drogę przyszłego postępowania. A wrodzone zdolności i podziwienia godna cierpliwość naszego wieśniaka mogą tu zdać istny egzamin dojrzałości. Najlepiej zresztą służą ku temu ukryte na drzewach trybunki w pobliżu lizanek, żerowisk lub pojła, a nie wątpię, iż będą one często odwiedzane i przez miłującego zwierzynę właściciela i przez jego oficyalistę, gdyż zainteresowanie się rośnie w miarę coraz to dokładniejszego rozpoznawania przedmiotu.

Wprawdzie i przy takiem zbieraniu statystyki zwierzostanów zachodzić będzie jeszcze częściowa zmiana siedlisk, bo zwierz przechodzić będzie sporadycznie z jednej kniei do drugiej, ale takie względy nie powinny stanowić przeszkody do stworzenia statystyki odpowiadającej wymogom praktyki. Sarny w ogóle niechętnie opuszczają rodzinne siedliska, i co najmniej należą do eklektyków w wyborze nowych ostoi, tem niechętniej zaś zmieniać będą miejsca pobytu, jeżeli nie zmusi ich do tego nieunikniona potrzeba, jeśli odpowiednie wyżywienie i unormowany stosunek wieku i płci, dozwoli w miejscu zaspokoić najsilniejsze popędy życiowe, które bywają w regule motywami przenoszenia się zwierza w dalekie nieraz strony. Czasem i wśród najodpowiedniejszych warunków siedliskowych zdarzy się w czasie pory godowej, iż pojedyncze zwierzęta daleko się zapędzą w miłośnej pogoni, jakieś oszołomienie zmysłów tłumi w nich na pewien czas przywiązanie do rodzinnej ostoi — lecz przekonałem się o tem niezliczone razy, iż tęsknota za stronami rodzinnemi budzi się w miarę ostygania popędu płciowego i zwierzęta wracają do dawnych swych siedlisk. (C. d. n.)

SŁONKI.

— Dlaczego pan Wiktor, zarzuciwszy strzelbę na ramię, wychodzi każdego dnia pod wieczór do lasu? Pora polowań na szaraka i kozła już dawno minęła, mykity nie ma na lekarstwo, o dzikach ani słychać — wiosna puka na prawdę do rozmarzłej ziemi — a on chodzi jeszcze ciągle, jakgdyby chciał co upolować. Jakiś zadumany, czasem niespokojny — czyżby kłusownicy buszowali mu po lesie? Toć leśniczy nie jest na to, aby się za złodziejami uganiał — ma na to leśnych. A nużby jeszcze który z tych zbójów strzelił do niego. Szkodaby było takiego ładnego chłopca, jak pan Wiktor...

Tak sobie myślała stara gospodyni, stojąca na podwórzu leśniczówki, i wypuszczająca z ręki kokoszkę, która krzykliwie protestowała przeciw gospodarskiej rewizyi. Co gospodyni do tego, kiedy ona jajko zniesie? Co jej do tego, gdzie młody leśniczy co dzień pod wieczór wychodzi?

A pan Wiktor, jakgdyby nie chciał zetknąć się ze starą Katarzyną, zwrócił swe kroki ku ogrodowi, i przesadziwszy przez płot jak zając, szedł na przełaj ku lasowi.

Niecierpliwe skowyczenie psa odezwało się z poza drzwi leśniczówki.

— Nawet Dunaja ze sobą nie bierze — mruknęła Katarzyna — jakgdyby mu przeszkadzał. Coś w tem jest.

I spojrzała znowu za odchodzącym, ale przyłożyła rękę do oczu, bo ją oślepiały promienie wiosennego słońca, które się nad las spuszczało.

Oj, pukała wiosna, pukała na prawdę do rozmarzniętej ziemi, chociaż nie była taka słodka, miła i uczesana jak w opisach poetów. Wichrzyło w niej nieraz jak w młodem sercu, pukało niecierpliwie jak krew w młodych żyłach, kotłowały się chmury czarne na lazurze nieba, jak gniew na jasnem czole, zrywały się przelotne śnieżyce jak wybuchy złości, a potem nagle słonko się wyłaniało, jak śmiejące oczy z poza łez...

Ot, była wiosna, jak wiosna. Wszystko się zrywało do życia i do kochania, pękały okowy lodu, wszystko szumiało, błyszczało i leciało w przyszłość, niesforne a odważne siłą odrodzenia.

Las był jeszcze głuchy. Nie odzywały się jeszcze tajemnicze szepty w jego liściach, nie kryły się tam jeszcze gniazda, wypełnione główkami krzykliwych piskląt. Ale chwilami przelatywały jakieś chmurki ptaków, jakby na zwiady

co się w tym zaczarowanym pałacu leśnym dzieje — w koronach drzew nie wyła już zimowa zawierzucha wysokiemi tonami przerażenia, tylko mruczał basem wiatr cieplejszy, stary piastun wiosny. Nawet wczesny kos jął już pogwizdywać wiośnie na ochotę.

Na północnych stokach leżą śniegi i ciemnieją ze wstydu przed słońcem, a zapóźniona leszczyna ukazuje mu swe krwawe blizny kwiatowe. Kwitną już iwy, osiki, olchy i topole, a gałązki i pąki nabrzmiałe życiem, połyskują w świetle i nabierają barw soczystych. Podmokła łączka okryła się kwieciem białej śnieżycy, od suchszych brzegów mruga modremi gwiazdkami cebulica dwulistna, a wśród krzaków sztywny wawrzynek zbiera już tchnienia wiosny w różowe kielichy swych kwiatów, choć jeszcze w listki nie porósł.

Zjawiła się i pliszka nad brzegiem kałuży polnej, patrzy w nią jak w lusterko i ogonkiem bije wiośnie pokłony. A woda ta, nie omdlała jeszcze letniemi wyziewami, taka młoda, a ruchliwa, a skrząca jak żywe srebro, zda się kryć w swem łonie tajemnicę życia. Drżą tam skry i łzy — płomienie czynu i strumienie płodności — ruch i przemiany światów przez wieczność...

Pan Wiktor przeszedł przez las i zbliżył się ku drugiemu jego krańcowi. Wiła się tu wąska drożyna, a poza nią zrąb o gęstym zapuście, z samotnie stojącemi nasiennikami.

Na pniu ściętej osiki, tuż ponad drogą, siedziała młoda dziewczyna i otulała się szalem wełnianym. Czerwono zachodzące słońce zaglądało jej w oczy i podnosiło urok jej młodości.

Pan Wiktor zbliżył się ku dziewczynie, podał jej rękę w milczeniu i witali się oczami, pełnemi słodyczy i radości.

— Czy dzisiaj będą? — zapytała dziewczyna.

— Pst! Z pewnością — rzekł młody leśniczy, kładąc palec na ustach.

Ona podniosła oczy ciekawie w górę, jakby szukając czegoś na tle błękitu, a on tymczasem usiadł tuż koło niej.

Powietrze było czyste, ale wilgocią przepojone — naokół świeciły się kałużki wody, odbijającej czerwonawą łunę zachodu.

Dziewczę się wstrząsło.

— Ach, jak zimno — szepnęło, a obcisnąwszy na sobie szal wełniany, przytuliło się bliżej do Wiktora.

I w istocie zawiał niespodzianie wiatr północny, a za chwilkę, z jakichś kilku szczątków rozszarpanej chmury, spadać poczęły drobne piórka śniegu.

Wtem w lesie odezwał się jakiś dziwny szum i chrapanie w powietrzu. Leśniczy wstał szybko a cicho i podniósł strzelbę do oka. Na tle jasnego jeszcze nieba zachodniego ukazały się dwie słonki, godowa parka, chrapiąca z miłośnych zapałów. Dziwacznie zarysowała się ciemna sylwetka tych śmiesznych długodziubów, szybujących ponad krzaki kapryśnym lotem. Broń leśniczego zagrzmiała dwa razy i obie słonki padły z dymem na ziemię.

Dziewczę zerwało się z kłody i krzyknęło, trochę z trwogi, trochę z radości. Rzucili się oboje w krzaki. I tu znów wyrywały się z ust dziewczyny krzyki i śmiechy, gdy nieostrożna nóżka skąpała się w wiosennym roztopie — ale szukali wytrwale i wkrótce zbliżył się do niej Wiktor, trzymając dwie słonki w ręku.

Dziewczę zawisło na ramieniu leśniczego i patrzyło z trwogą i ciekawością na ubite ptaki. Nie czuła już zimna. Szal zsunął się jej z jednego ramienia, pierś falowała szybszym oddechem, a nad twarzyczką rumianą, o nosku różowym od zimna i mokrym od roztajałych płatków śniegu, bujała grzywka w wietrze rozburzona.

— Szkoda! Jakie one ładne...

— A widziałaś, jak leciały za sobą, jak się kochały?

— Niedobry! Czemuś je zastrzelił? — mówiło dziewczę, głaszcząc piórka drżącemi palcami.

— To była parka narzeczonych.

— Fe, brzydki! Zabijasz za to, że się kochają.

— Czasem się zabija, a czasem się zjada z miłości — rzekł Wiktor patrząc jej z uśmiechem w oczy, ale tak blisko, że oddechy ich się zmieszały.

Dziewczyna puściła ramię swego towarzysza, odskoczyła na bok, a potem urwawszy gałązkę smereczyny, wspięła się wysoko na paluszki i zatknęła choinkę za kapelusz.

— Masz zwycięzco! Morderco zakochanych! Zjedz jeszcze te słonki z miłości, ale strzeż się, żeby cię ta miłość nie zabiła.

— Dla ciebie jedna, dla mnie druga, zjemy po połowie, niech nas zabija...

A gdy to mówili, już im tylko oczy błyszczały wśród gęstego zapustu, bo zorza gasła na zachodzie i noc schodziła na ziemię. W ciemny granat zmieniło się niebo na wschodzie, wiatr przeganiał po niem strzępy chmur poszarpanych, a gwiazda wieczorna płonęła już jasno, wabiąc ku sobie oczy zakochanych. Tu i ówdzie odzywał się jeszcze w powietrzu szum skrzydeł i chrapanie — to reszta słonek ciągnęła, ale noc kryła je przed bronią zabójczą.

Przy tem mdłem świetle gwiazd wracali oboje do domu. On ją odprowadzał, a droga po nocy była pełna niespodzianek. Wypadało przebyć szeroką kałużę. Wtedy ona zarzuciła mu znowu rączki na ramię, a on ją ujął wpół i niósł jak dziecko ponad wodę. Patrzył na nią z uśmiechem słodkim, a ona odwracała twarzyczkę, skarżąc się, że ją broda kole.

Chciałby ją wiecznie nieść, ale wnet ukazały się oświetlone okna dworku wiejskiego. Postawił ją zatem jak dziecko na suchym skraju drogi, znowu milcząco za rączkę uścisnął i znikł w gęstwinie.

* * *

Nikt nie chodzi bezkarnie wieczorem na słonki. Sprawdziło się to i na dziewczynie i na kawalerze. Dziewczyna bywała blada i zamyślona, a Wiktor gorszył swą gospodynię kapryśnym humorem, nagłemi wybuchami gniewu, albo obojętnością i zaniedbaniem w sprawach leśnych i gospodarskich, jakiego dawniej nie znała.

W dworku szlacheckim mieszkał dzierżawca o chudych dochodach, a wielkiej dumie rodowej. Chętnie obcował z leśniczym nieznanego pochodzenia, lecz kolegacić się z nim familijnie i dawać mu jedynaczkę — to mu i przez myśl nie przeszło. Łączyła ich wspólna pasya myśliwska, wytworzyła nawet wiele poufałości i sąsiedzkiego przywiązania, ale na tem koniec.

Tymczasem po ciągu słonek rozbujała się wiosna na dobre i coraz więcej pokus gromadziła w gęstwinie leśnej.

Szara, mokra ziemia poczęła się stroić do słonka i z coraz cieplejszych barw zszywała swą suknię. Na ciemnem tle świerków rozpuściły brzozy swe złoto-zielone warkocze, dąb się nawet namyślił, ażeby wyjść z konserwatywnego zastoju, a czeremcha, zalotnica, biła powietrze kiściami białych kwiatów, odurzała wonią i gromadziła koło siebie całe roje zalotników, brzęczących na wszystkie nuty. Samotna

kalina okółkami kwiatów wyglądała z poza iw szaro-zielonych, a sośnina wyciągała się w białe świece, jakby je chciała zapalić na chwałę Stwórcy w tym rozkosznym kościele natury.

Kwiaty wszędzie, wonie wszędzie, pieśni wszędzie.

Razem z wyziewami obsychającej rosy porannej ciągną się aromaty kopytnika i przytulii — zawilce migają jak białe gwiazdki wśród cieniów gęstwiny — na skraju lasu straż trzymają żółte pierwiosnki patrząc odważnie w słońca źrenicę.

A ta wrzawa, a ta wrzawa lotnej rzeszy śpiewaczej! Te plotkarskie rozhowory szpaków i drozdów, te szczebioty gajówek i czeczotek, i ten śpiew wieczorny słowika, namiętny, tęskny, ta nieskończona pieśń miłości... Cały ten stugłosowy pean natury rodzi się, rośnie i wzmaga w pośród tajemnych drgań życia — z wody i z ognia, z aromatów i drobin niewidzialnych wznosi się ku niebu potężna ziemi przyroda.

— Kto wie, co się tam dzieje w tych najciemniejszych zakątkach leśnych?

Tak mówiła dziewczyna, siedząc na stoku pod brzozą i zbierając w bukiet pęki leśnych kwiatów.

— Tam jest także miłość — rzekł jej Wiktor — wszędzie jest miłość...

— Którą ty zabijasz.

— Nie, nie, źle mówisz, która mnie zabija. Nie pozwalasz ani słówkiem napomknąć coś ojcu — i jak się to skończy?

— Gdybyś wiedział, jak się tatko gniewa...

— A przecież my bez siebie żyć już nie możemy. Lada ptaszę ma swe gniazdo uwite, muszki nawet roją się miłośnie ku promieniom słońca — a my...

— My kochamy się także, cóż chcesz więcej?

Wtedy on popatrzył na nią jakby z wyrzutem, tłumiąc ogień swych źrenic i szepnął:

— Chodź!

Zerwała się i poszła za nim.

Szli ostrożnie, skradając się ku leszczynie, która licznemi pędami z ziemi wyrastała.

Wiktor położył palec na ustach, ukląkł i czołgał się po cichu ku bukietowi leszczyny. Ona czołgała się za nim z ciekawością dziecka, któremu zaczarowaną księżnę chcą pokazać.

Wcisnęli głowy oboje tuż obok siebie pomiędzy pędy leszczyny. On objął ją r ką w pół i z lekka przysunąwszy do siebie, ukazał palcem między odrośla. Było tam trochę mchu i trochę suchej trawy, dołek nie wymyślny, a w nim śmieszne, szare cztery słonki w pałkach, niedawno z jaj wylęgłe. Stary samiec trzymał w dzióbie wielki przysmak, świeżo z błota wydobytą dżżownicę, matka obdzielała innym przysmakiem żarłoczną gromadkę.

Dziewczynie mało oczy nie wyskoczyły; zarumieniona wstrzymywała oddech, żeby tylko nie spłoszyć tej dziwnej rodzinki. A on przybliżał twarz swą do twarzy jej coraz bliżej, i jak się usta ich w pocałunku zbiegły, o tem jeszcze do dziśdnia nie wiedzą.

* * *

W najniestosowniejszej porze zjawia się zwykle w takich razach ojciec. I tu znalazłszy dwoje młodych na raczkach, z głowami w krzak wetkniętemi, nie mógł sobie zdać sprawy z tak dziwnej pozycyi. Narobił też bardzo dużo hałasu.

Ale cóż hałas może tam, gdzie miłość pieczęcie swe na ustach położyła? Pleśń przesądów znika w promieniach prawdziwej miłości — uprzedzenia rozwiewają się jak opar nocny na widok zorzy porannej. Mógł sobie stary dużo hałasować i zgrzytać na tarczy herbowej — miłość zwyciężyła.

A pani Wiktorowa jest dziś o jedno doświadczenie bogatszą; wie mianowicie, że nietylko bociany, ale i słonki mają dość długie dzióby, aby być w poważaniu u młodziutkich małżeństw.

St.

O żywieniu sarn w jesieni i zimie.

Ileż to nieprzyjaciół ma płowa zwierzyna! Do zastępu kłusowników, wilków i lisów przyłącza się zastęp postępowych leśników, którzy kategorycznie twierdzą, że kultur lasowych porządnie prowadzić tam nie można, gdzie dużo płowej zwierzyny się znajduje. Ostatni artykuł w „Łowcu“ nr. 3. r. b., wielce cenionego autora p. W. Spausty, wielką zrobił przykrość myśliwym*). Znowu się sunąć będą podania do Namiestnictwa o pozwolenie wybijania kóz, gdyż one w kulturach tak wielkie szkody robią. A przecież stan sarn nie jest tak znaczny, nie powiększa się tak, jak się powiększać powinien, z powodu znacznych wrogów i nie wykonywania ustawy łowieckiej, w szczególności w tych powiatach, w których naczelnik nie jest myśliwym.

Na ten artykuł chcę odpowiedzieć kilku słowami.

Największą szkodę w kulturach robią w istocie sarny, bo się ich znajduje największa ilość w lasach, w których kultura objęła swe panowanie. Robią szkodę, tego zaprzeczyć nie można, ale robią dlatego, że sami leśnicy temu są winni, bo nie żywią sarn, a jeżeli je żywią, to błędnie, zadając im paszę taką, że sarna ją przyjmuje chyba w ostateeznym głodzie. Takiem żywieniem sarn nie uchronią postępowi leśnicy swych kultur od szkody. Sarnę trzeba żywić nie tem, co ona jeść może, lecz tem, czem ona żywić się lubi. Widziałem dużo rewirów, w których stały szopki liczne i koszyki pełne żywności dla sarn, lecz zwierzyna jej nietylko nie ruszyła, ale nawet śladów jej koło szopek nie było. I jakaż była to żywność? Najczęściej kwaśne siano lub grochowianka omłócona, często stęchła, zawilgła i mokra. Tem sarna żywić się nie będzie, chyba w ostatniej godzinie głodu, gdy śniegi na metr ziemię okryją, i kiedy do żadnej

*) Szanowny autor pozna dopiero w dzisiejszym numerze w całej pełni zapatrywania p. W. Spausty na rolę sarn w gospodarstwie lasowem i nie zechce go zapewne zaliczać nadal do bezwzględnych obrońców kultur leśnych przeciw zwierzynie płowej. (*Przyp. Red*)

rośliny dobyć się nie będzie mogła. Przy zadawaniu takiej paszy nie dziwię się, że sarny szkodę czynić będą po kulturach, i że wyłącznie żywić się muszą młodszemi pędami sadzonek po zrębach.

Mówiłem powyżej, że sarnę żywić potrzeba tak, aby miała na pożywienie to, co lubi, a trzeba wiedzieć, że sarna o każdej porze roku co innego przyjmuje na pokarm.

O letniem żywieniu sarn nie będę się rozwodził, bo w lecie ma sarna tak dużo rozmaitych roślin po zrębach i liniach, że sobie wybiera najsmaczniejsze, które jej za ulubiony pokarm i za lekarstwa służą. Lecz już od połowy października a nawet wcześniej, kiedy wegetacya w lasach i polach ustaje, kiedy przestarzałe i na pół zeschłe rośliny już jej nie smakują, trzeba żywić sarnę sztucznie, bo inaczej już w jesieni znaczne szkody robić będzie w kulturach. Już w tym miesiącu i tak długo, póki silniejsze mrozy nie nastaną, sarna najlepiej lubi się paść na białej koniczynie, zastępuje ją sobie także czerwoną, jednak pierwszą przekłada nad drugą. Koniczynę tak zwaną ściernicę woli bez kwestyi aniżeli dwuletnią. Dlatego chcąc, aby sarny już z początkiem jesieni miały swą ulubioną paszę, trzeba pod lasem lub na łączkach wśród niego, gdy jest głęboki, siać białą koniczynę w jęczmieniu, jęczmień w żniwa skosić i zebrać na ziarno, a na jesień zostanie sarnie jej ulubiony pokarm do pierwszego silniejszego mrozu. Lecz po pierwszym przymrozku, gdy listki koniczyny poczernieją, już nie zobaczysz ani jednej sarny na koniczynie, choć dnia poprzedniego z całego rewiru tam się schodziły stadami wieczorem i rano.

Trzeba więc już znowu pomyśleć o nowej karmie, którąby sarna lubiła. Po mrozie silniejszym sarna przenosi się na żyto i niem się żywi; lecz nie na każdem życie z równem zamiłowaniem sarny paść się będą. Żyto musi się siać nie bardzo wcześnie, ani też bardzo późno. Żyto zanadto wybujałe ma w sobie gorycz, której sarna, jak i każde zwierzę domowe, nie znosi. Żyta nie bardzo bujne gorycz swą po przymrozkach tracą zupełnie. Przed mrozami nigdy nie widziałem pasących się sarn na żytach. Żyto nie powinno być siane na bardzo przegniłym nawozie; najbardziej lubią się sarny paść na życie górskiem (montańskiem), które wcześniej dojrzewa, a siane na mierzwiastym nawozie, świeżo wywiezionym w pole przed siejbą, gdy nie jest bardzo bujne lecz dostatecznie ziemię okrywa. Żytu temu sarny szkody nie robią. Owszem, żyto wypasione przez sarny nie ulega wyprzeniu, a gdy listki czyli wstążki sarny obgryzą, pleśń się na nich nie utrzyma. W razie spadnięcia śniegu na niezamarzniętą ziemię, tem pożądańsze jest paszenie się sarn, gdyż ziemia stratowana racicami sarn, nie leży przez całą zimę niezamarznięta, i żyto na niej nie przeje, jak to się często zdarza na łanach pod lasami położonych.

Na pszenicę zasianą pod lasem, sarny tylko z konieczności wychodzą, gdy żyta w pobliskości nie ma. Na tych to żytach pasą się sarny, póki śnieg zbóż nie zakryje tak, że się one do oziminy dogrzebać nie mogą. Wtenczas to przechodzą na rzepak, zasiany w pobliżu lasu.

Rzepak dla sarn musi być zasiany na bujnym gruncie i bardzo wcześnie, aby duże liście posiadał, musi być wybujały, aby go śnieg tak prędko nie przykrył. Rzepak taki powinien być już siany w drugiej połowie lipca, aby się mógł dość rozkrzewić. Gdy jesień jest mokrą, liście rzepaku nasycone wodą i wilgocią, często sprawiają u sarn dyaryę czyli biegunkę. Temu musi tak chodowca zwierzyny jak leśnik zaradzić, bo pierwszy może stracić wiele młodych sarn, drugiemu zaś zjedzą kultury dębowe do szczętu. Na to mamy kilka środków, bardzo tanich, które usuwają w zupełności grożące klęski kulturom i zdrowiu sarn. Kiedy widzimy, że sarny zbyt często po rzepakach się pasą, musimy już zadawać po tryzubach w lesie snopy nieomłóconej wyki, a w korytkach żołędź, w wrazie zaś niezrodzenia tejże, dzikie kasztany. Żołędź i kasztany najlepiej po wyzbieraniu zadołować, aby nie stęchły i nie zmarzły i częściowo zadawać. Żołędź daje się w korytkach pod tryzubami w całości, dzikie zaś kasztany najlepiej na dwie części przekroić lub grubo posiekać. Wyka, dzikie kasztany i żołędź służą sarnie jako lekarstwo przeciw motylicy. Leśnik, który tak będzie żywił sarny przez jesień, może być pewnym, że kultury swe ochroni od obgryzienia przed zimą, a zyska przez to jeszcze, że silne i zdrowe okazy sarn do walki na zimę przygotuje.

Przystępuję teraz do żywienia sarn przez zimę, kiedy się one już do żadnej rośliny dogrzebać nie potrafią. Najtańszą karmą przez zimę dla sarn jest koniczyna czerwona, pięknie zebrana Nie każdą jednak koniczynę z równym smakiem jeść będą sarny. Koniczyna na tę paszę przeznaczona powinna być już wtedy skoszona, gdy mniejsza część pączków się rozkwitnie, powinna pochodzić z pola nie bardzo bujnego, aby grubych łodyg nie miała a jak najwięcej liścia. Koniczynę taką zbiera się nieco surową w kopiczki, aby się w nich trochę zaparzyła, gdyż w ten sposób uratujemy listki od obsunięcia się. Koniczyna powinna być po wyschnięciu dokładnem w polu w porcye związana, aby nie zatęchła; w suchem miejscu złożona, ale nie na strychu stajennem, gdyż przejdzie amoniakiem wydobywającym się z nawozu. Źle zebraną paszę dla sarn, stęchłą i złożoną długi czas na strychu stajennym, sarna nie przyjmie. Składać w stertę przeznaczoną koniczynę dla sarn, nie radzę, gdyż przez składanie jej i rąbanie lub mykanie ze sterty, dużo bardzo liścia się obsunie i zostaną same łodygi, których sarna nie je. Sarny lubią jeszcze bardziej koniczynę z drugiego pokosu tak zwaną otawę, która o wiele więcej liścia posiada, a mniej twarde łodygi. Koniczyna na ten użytek przeznaczona powinna być siana bez przymieszki tymotki i innych traw, jedynie z białą koniczyną może być siana. Tę ostatnię lubią sarny bardzo, gdy jest dobrze bez deszczu zebraną.

Żywienie sarn owsem w snopach przez zimę uważam za bardzo drogie, a często go sarny nie przyjmują na karmę, i tylko sojki i wrony z niego korzystają. Dla zdrowia potrzeba również od czasu do czasu zadawać po porcyi wyki w tryzubach, oraz żołędź i kasztany w korytkach. Oprócz tej sztucznej karmy trzeba koniecznie sporadycznie tu i owdzie spuścić kilka osik i dębów, gdyż sarna nie tylko lubi od czasu do czasu kilka pąków z drzew obgryźć, lecz także wysoko ceni mech rosnący po drzewach. Pęki z drzew zrąbanych służą sarnie również jako leki i odbierają jej chęć do szukania tychże po zrębach i robienia szkód po kulturach.

Na wiosnę, gdy śniegi znikną, sarna trzyma się wiernie tego systemu przyjmywania paszy co w jesieni: zaczyna od rzepaku, a kończy na koniczynie, póki się rośliny leśne nie rozwiną. Na wiosnę paszy w tryzubach sarna już nie przyjmuje, oprócz wyki i żołędzi, z wyki jednak ziarna już tylko wybiera zostawiając słomę. Strączki bobu, a właściwie tylko ziarna, wyłuszcza bardzo chętnie.

Wypominają jeszcze leśnicy rogaczom, że uszkadzają sadzonki kilkoletnie i kilkunastoletnie przez obcieranie rogów o korę młodych drzewek. Jest na to sposób, aby temu zaradzić. Wiadomo leśnikom wszystkim i myśliwym, że rogacz obciera mech z rogów tylko na wiosnę i na wolnych miejscach, gdzie gąszczy nie ma, najczęściej na liniach i wolnych od zarośli łączkach; tam to uszkadza drzewka młode obsuwając z nich korę przy tej operacyi. Wybiera

zawsze drzewka twarde nie mające gałęzi u pnia nisko. Trzeba więc po liniach i halawach, na które rogacze często wychodzą, wbijać w ziemię drążki na półtora metra wysokie z dzikiej gruszki i jabłoni młodej, których kora pokryta jest ostremi sęczkami. Rogacz, spotkawszy taki pal, którego powierzchnia jest chropowatą, z pewnością o niego wycierać będzie rogi, których swędzeniu daleko lepiej ulgę będą robić sęczki, aniżeli kora ze świerka lub modrzewia.

Więc panowie leśnicy, nie narzekajcie na nasze sarny, te ruchliwe sylwanki, bez których las, choćby najpiękniej prowadzony i kulturowany, martwym się wydaje; one mu nigdy szkody czynić nie będą, jeżeli im podacie zdrową karmę, jaką one lubią, którą możecie tak tanim kosztem opędzić. Wszak na ogrodach i polach przy lesie położonych, jeżeli zasiejecie koniczynę, będziecie mieć paszę dla waszego bydła, a żyto zasiane wam się opłaci także, bo i tak zwykle je siejecie, a tych kilka snopów wyki i kilka porcyi koniczyny, którą sarnom się da w porze zimowej, wielkiej ujmy nie uczyni kasie lasowej. Pewnie to taniej wypadnie, niż coroczne nadsadzanie zjedzonych sadzonek po zrębach lub smarowanie tychże olejem skalnym lub mazią. Sarny w ten sposób żywione, szkody po lasach czynić nie będą, tylko dochód sobą przyniosą i przyjemność, bo przypuszczam, że jeszcze leśników nie myśliwych jest bardzo u nas mało, bo leśnik nie myśliwy, leśnikiem zwać się nie powinien.

Aleksander Wodzicki.

Z OBCYCH ŚWIATÓW.

Przez czarny ląd.

III.

W czasie pochodu przez kraj Masai do granic Kikuju dotarła cała karawana do Doenje Erók, t. j. czarnej góry. Tutaj miał Höhnel pierwszą i ostatnią sposobność polowania na żyrafy — i to z dobrym skutkiem. Oto co pisze:

„Okolica Doenje Erók to istny zwierzyniec. Strome stoki tej góry i jej podnóże pokryte są drzewami liściastemi, głównie akacyami, i od tej ciemnej lesistej szaty otrzymała góra nazwę „czarnej“. Zresztą las jest nie zbyt gęsty i bez bujnego podszycia, co należy do rzadkości w Afryce.

W lesie tym na każdym kroku spotykałem antylopy Mpala. Zresztą panowała tu jakaś poważna cisza, przerywana tylko od czasu do czasu krzykiem dzióborożca (*Buceros*) ptaka średniej wielkości, odznaczającego się czerwonym, nadzwyczaj kruchym dzióbem i upierzeniem białem, nakrapianem ciemno-zielonem i plamkami.

Sąsiednia, krzakami porosła dolina, roiła się za to mnóstwem zwierzyny. Były tam żyrafy, zebry, dziki, antylopy Gnu gazele, strusie, dropie, perliczki i kuropatwy. Hrabia Teleki postrzelił podczas półgodzinnej przechadzki cztery zebry, żadnej jednak nie dostał, gdyż postrzałki uszły, on zaś nie chcąc się sam jeden zanadto od obozu oddalać, zaniechał dalszego pościgu.

Tuż obok obozu ubił za to jedną antylopę, podobną zupełnie do gazeli Spekei, jednak odznaczającą się rdzawą barwą sierci i białem podbrzuszem. Następnego dnia ubił hr. Teleki dzika i nosorożca; tych ostatnich nie wiele jednak tu było, gdyż tylko trzy ich widział. Wycieczki wzdłuż pasma gór w kierunku wschodnim, połączone były z niemałemi trudnościami. Głębokie wyrwy wodne w gruncie laterytowym, o ścianach niemal pionowych tamowały pochód. Mimo to ubił tu hr. Teleki pięć antylop Mpala i jedną gazelę Thomsona. W chwili obielania i rozbierania tej gazeli, wysłał Teleki dwóch swych ludzi wzdłuż parowu, aby szukali dogodnego miejsca do przejścia na drugi brzeg. Po kilku minutach wrócili oni dając znać, że nieopodal spotkali lwa, zabierającego się właśnie do spożycia schwytanej zebry. Hr. Teleki pobiegł natychmiast ku wskazanemu miejscu, lecz tu znalazł już tylko zebrę z odgryzioną głową; lew uszedł, a świeży trop wskazywał, w którą umknął stronę. Można było rozpoznać, że biegł brzegiem rozpadliny i w końcu, znalazłszy węższe nieco miejsce, przeskoczył na drugą stronę. Rozpadlina była w tem miejscu na 10 m. szeroka a 20 m. głęboka o ścianach prawie prostopadłych. Głowa zebry, którą lew przeskakując w miejscu tem opuścił, leżała na dnie rozpadliny.

Na drugi dzień popołudniu wybrałem się w stronę lasu. Nie szło mi już o polowanie, ale chciałem się tylko nasycić widokiem zwierząt, w ich niczem nie mąconej swobodzie, idylą antylopy igrającej z młodymi, lub zalecankami czułej pary, i nie myślałem wcale strzałami zakłócać tej sielanki.

Nie brałem nawet strzelby do ręki, gdy wtem z lewej strony, wśród pni drzew, na 80 może kroków ujrzałem najniespodziewaniej — żyrafę. Widok tego zwierzęcia, tak płochego tu, wśród lasu i w takiej bliskości, był czemś tak niezwykłem, że oczom własnym nie chciałem wierzyć. Oprzytomniawszy ze zdziwienia, począłem się podkradać jak najciszej i jak najbliżej, starając się wypatrzyć punkt, najwłaściwszy do strzału.

Nie ruszając się prawie z miejsca i nie przeczuwając grożącego jej niebezpieczeństwa, ogryzała żyrafa — nawiasem mówiąc okazały, ciemno ubarwiony samiec, o wysoko wzniesionej szyi — delikatne, młode pędy akacyi.

Pierwszy raz w życiu nadarzyła mi się sposobność strzelania do tego wspaniałego zwierza; serce mi więc biło jak młodzikowi, który pierwszy raz w życiu poluje, i wstrząsała mną gorączka myśliwska, uczucie, nieznane zresztą myśliwemu, polującemu w tym istnym zwierzyńcu.

Wkrótce ujrzałem i drugą żyrafę, trochę mniejszą i o jaśniejszej barwie sierci; była to widocznie para, która w wędrówce swej aż do tego lasu zabłądziła. Po długiej rozwadze, gdzie się w tak dziwnie ukształtowanem cielsku serce znajdować może, złożyłem się i strzeliłem. Samiec został śmiertelnie ugodzony. Poruszając długą swą szyją i chwiejąc się, uchodził ku samicy, która niespodziewanym strzałem przerażona stała jak w ziemię wrośnięta i osłupia-

łemi czarnemi oczyma patrzyła na swego towarzysza. Raz już uniesiony gorączką polowania, nie miałem serca ni zmysłu ochrony i drugim strzałem ugodziłem samicę.

Obie tedy żyrafy, śmiertelnie ranione, stały z szeroko rozstawionemi nogami, aby nie upaść, — ja zaś, chcąc skrócić ich cierpienia, kilka jeszcze razy do nich wystrzeliłem. Pierwsza upadła samica. Padając wygięła długą szyję na lewo tak, że głową dotykała prawie końca ogona. Jak samiec padł nie widziałem — gdyż właśnie w tej chwili przypatrywałem się śmierci samicy. Po chwili spostrzegłem, że i on leży bokiem na ziemi.

Do żyrafy potrzeba bardzo celnego strzału, by odrazu padła. Do obydwu sztuk strzelałem z expresa 500.

Expresy tego kalibru należały do najmilszej naszej broni na polowaniach. Były lekkie, nadzwyczaj zgrabne, a strzelaliśmy z nich hartowanemi kulami o sześciodrachmowym naboju prochu (26 gramów).

Chociaż obie żyrafy na 30 kroków celnie trafiłem, padły dopiero po dwóch minutach. Żałuję bardzo, że nie mogę podać dokładnych rozmiarów samca, był bowiem bardzo rosły i większy niż te, które widzieć można po menażeryach i ogrodach zoologicznych.

Żyrafa zdumiewa w ogóle swoim ogromem, dzięki niezwykłej budowie ciała. Nawet największy słoń, jakiegośmy w ciągu naszej podróży widzieli, nie wywarł na mnie tego wrażenia wielkości, co ów samiec żyrafy. Mięso tych zwierząt ma być wyborne; lecz niestety za późno dowiedzieliśmy się o tem, i dlategośmy go nie kosztowali. Skóra na żyrafach jest niemal tak gruba jak na bawole, a przytem silna i elastyczna.

Dwóch chłopaków, którzy byli ze mną, posłałem po ludzi, by mógł moją zdobycz zabrać — sam zaś, odciąwszy puszyste kiście ogonów jako trofea łowieckie, ruszyłem dalej.

Chodząc po lesie, spotkałem niebawem jeszcze jednę żyrafę. I ta była mniej ostrożna niż zwykle, lecz zdołała ujść, gdyż się o nią nie dobijałem. Wyszedłem na step, krzewami zarosły i ujrzałem tu strusie, lecz tych nie można było i tak dalekonośną bronią jak nasza dosięgnąć. W końcu po raz trzeci trafiłem na dwie żyrafy. Para ta, zdumiona moim widokiem, stanęła nieopodal, ciekawie mi się przypatrując. Mając już dwie ubite żyrafy, nie dbałem już o trzecią, znalazłszy się jednak w bardzo dogodnem położeniu, nie mogłem się powstrzymać, i strzeliłem, raniąc śmiertelnie samca. Ten, usiłując się powstrzymać od upadku, rozstawił szeroko przednie cewki, przyczem poruszała się długa jego szyja to w tył to naprzód, jak maszt okrętowy wśród burzy. Drugim strzałem powaliłem go na ziemię. Samica pomknęła po strzale i w odległości około 200 kroków stanęła, oglądając się trwożliwie za swym towarzyszem.

Stała tak nieruchoma, i nie zemknęła nawet wtedy, gdyśmy się do leżącego samca zbliżyli. Przykrywszy zdobycz tę kolczastemi gałęziami, by ją od hyen zabezpieczyć, wróciliśmy już o zmierzchu do obozu.

Trzy te sztuki były pierwszemi ale i ostatniemi żyrafami, które mi się udało w podróży naszej ubić“.

Z dalszego pochodu ku Besil opowiada Höhnel przygody z nosorożcami.

Gdy awangarda karawany okrążała górę Doenje Lemeiboti, trafiła na trzy nosorożce, które leżały obok siebie w piasku na stoku góry. Hr. Teleki polecił karawanie, aby maszerowała dalej ku wskazanemu obozowisku, sam zaś zwrócił się do nosorożców. Nie mogąc ich blisko podejść, strzelał na znaczną odległość. Ranione zwierzęta umykały, lecz dogoniono je i w końcu uległy celnym strzałom hrabiego.

Karawana postępowała tymczasem wzdłuż doliny. Höhnel znajdował się jak zwykle w arjergardzie dla kartograficznego zdejmowania okolicy i znaczenia drogi na mapie, gdy wtem przybiegło doń kilku ludzi zadyszanych, z doniesieniem, że karawana dalej posuwać się nie może, bo dwa nosorożce zastąpiły jej drogę. Daremnie wywijają flagą karawanową, zwierzęta nie dadzą się spłoszyć.

Usłyszawszy to, udał się porucznik na czoło karawany i stał się tu świadkiem wielce pociesznego widowiska.

„Na samej ścieżce — opowiada — stały istotnie dwa nosorożce, nieruchome jak gdyby z kamienia wykute i małemi ślepiami swemi obserwowały przerażoną karawanę, wśród której jeden z najodważniejszych wywijał flagą jak szalony. Obawiałem się, że podniecone tem zwierzę, zechce podjąć walkę z karawaną, dlatego puściłem się zaraz w bok i na jakich dwieście kroków strzeliłem do pierwszego nosorożca, celując w komorę. Zwierz kwiknął tylko raz i padł na kolana. Drugi nosorożec zdawał się zupełnie strzału nie zauważyć i stał dalej nieporuszony. Nie namyślając się więc, posłałem z drugiej lufy i temu morderczą kulę. Ku wielkiemu zdziwieniu memu padł i ten kolos na miejscu, czego tem mniej mogłem się spodziewać, że strzelałem ze zwykłego ekspresa nr. 500.

„Radość karawany, która się temu wszystkiemu przypatrywała, nie da się opisać. Najbardziej zdziwionymi byli Masajczycy, którzy się do karawany przyłączyli. Raz po razu chwytali mnie za rękę, wstrząsali nią i pluli na nią, powtarzając bez ustanku wyraz „ngai“ tj. bóg. Zwykli to oni czynić, gdy im się coś niewytłuczonem i nadnaturalnem wyda“.

Po uciążliwym marszu, ku podnóżom góry Doenje Mellewo, przyszło do pierwszego spotkania ze słoniami. Już okolica sama wskazywała ich bytność. Wielkie drzewa były tu z korzeniami powyrywane, inne odarte z kory aż do wierzchołka, mnóstwo gałęzi pokrywało ziemię. Żywienie się słonia, to zniszczenie najokropniejsze całej okolicy.

Gdy karawana stanęła obozem, dano znać hr. Telekiemu, że cztery słonie są w pobliżu. Hrabia wybrał się zaraz, ale zapuścił się w innym kierunku i nie spotkał ich. Pod wieczór dano znać i porucznikowi, który został w obozie, że słonie są niedaleko. Były to widocznie te same cztery sztuki, które hrabiemu sygnalizowano. Stały w miejscu, odbywając popołudniową siestę. Höhnel ruszył tedy ku nim wziąwszy sobie za towarzysza tylko jednego człowieka, imieniem Hassana, przezornego i sprytnego, choć jednookiego.

„Słońce miało się już ku zachodowi — opowiada Höhnel — nie było czasu do stracenia. Zapuściliśmy się w gęstwinę, niewątpliwie w dobrym ku słoniom kierunku, lecz daremnie przedzieraliśmy się i wzdłuż i w poprzek, ani śladu tropów ni zwierząt. Straciwszy nadzieję zabieraliśmy się już do powrotu, gdy przyszła mi do głowy myśl, aby się jeszcze wydrapać na skałę na 10 metrów wysoką i stamtąd dokładnie całą okolicę przeglądnąć. Zaledwom stanął na szczycie skały, ujrzałem słonie: stały na tem samem miejscu, na którem je nam sygnalizowano, i spały widocznie, gdyż inaczej byłyby nas musiały zwietrzyć, bo buszując po lesie, musieliśmy być nieraz w ich bliskości.

„Teraz nie można już było czasu tracić, jeślim miał, korzystając z krótkiego bardzo zmroku krajów tamtejszych, podejść i strzelać do słoni. Białość kłów odbijała żywo od szaro-zielonej barwy otoczenia, nie było więc trudno wyna-

leźć największą sztukę. Zbadawszy tedy prędko kierunek wiatru, zbiegliśmy szybko na dół wprost ku słoniom, lecz choć byliśmy już bardzo blisko, nie mogliśmy przez gąszcze ani płatka popielatych cielsk dojrzeć. Płytki gnejzowe i żwir skrzypiały przytem pod memi stopami, choć starałem się jak najlżej stąpać. Uważnie tedy, jak gdyby o życie chodziło, poczęliśmy się czołgać ku najbliższej akacyi, i stąd ujrzeliśmy wreszcie samca z potężnemi kłami. W odległości 23 kroków stał, zakryty do połowy krzakami, nie wietrząc wcale niebezpieczeństwa, i sięgał niedbale trąbą do tej lub owej gałęzi. Z trwożliwą niecierpliwością przyglądałem się słoniowi, lecz nie mogłem strzelać. Nie miałem jeszcze podówczas należytego w tej mierze doświadczenia i sądziłem, że należy koniecznie celować w okolicę serca, a że mi się to miejsce nie odsłaniało, więc czekałem w takiem wzruszeniu, jakiego nigdy przedtem ani potem nie doświadczyłem Kalczate zarośla akacyi utrudniały strzał, musiałem się więc położyć na ziemi i pomiędzy dolne gałęzie akacyi celować.

„Wreszcie postąpił słoń o pół kroku w bok, aby jakąś szczególnie soczystą gałęź pochwycić. Komora jego nie odsłoniła się jeszcze zupełnie, ale zapadający zmrok naglił do działania. Leżąc przyłożyłem tedy ciężki sztuciec (kal. 8) do ramienia, wymierzyłem ku brzegowi nieforemnego ucha na komorę i pociągnąłem za cyngiel. W tejże chwili uczułem potężne uderzenie w twarz i strumień krwi począł ciec na dymiącą jeszcze strzelbę. Nie mogłem pojąc co się stało, lecz nie miałem czasu zastanawiać się nad tem, bo wszystkie moje zmysły uwięziła scena następująca. Postrzelony słoń zwrócił się ku mnie i postąpił krok naprzód, gotując się do napadu. Skupiony w sobie tak, że wydawał się wyższym, smuklejszym i węższym, stał nastawiwszy potężne, szerokie uszy i wyciągnąwszy w górę trąbę, która wiła się jak wąż bezustannie. Po obu jego bokach, ramię do ramienia, ukazały się i inne dwie głowy słoniowe, również z nastawionemi słuchami i wzniesionemi trąbami. Poza tą groźną trójką stał czwarty słoń.

„Cała ta grupa stała bez ruchu, śledząc wzrokiem gęstwinę i wietrząc nieprzyjaciela, a okropną ciszę tej chwili przerywał tylko szmer, jaki wydawała krew moja, sącząca się z twarzy kroplami. Uderzeniem w twarz byłem nieco odurzony, namiętność myśliwska ochłódła, nie byłem zdolny do dalszych strzałów, choćby dla własnego ratunku. Lecz te kilka sekund, w ciągu których słonie mój krzak akacyi obserwowały, wydał mi się wiecznością. Na szczęście wszystkie cztery kolosy zwróciły się niebawem i odeszły w przeciwnym kierunku, a wkrótce umilkł także trzask i łomot ich pochodu.

„Obmacawszy twarz, przekonałem się teraz, że mam nos rozcięty. Kopanie sztućca, używanego na słonie, złagodzone jest kauczukową poduszką na końcu kolby, lufy jednakże mają przy strzale także gwałtowną skłonność zrywać ku górze. Wiedziałem o tem, lecz w chwili tak wielkiego wzruszenia zapomniałem zwrócić na to uwagę, a zresztą strzelałem w pozycyi leżącej, co w ogóle przy sztućcach takiego kalibru jest niedopuszczalne. Tak więc przy strzale lewy kurek uderzył mnie w nos i rozfałatał go najokropniej.

„Zabandażowałem nos jak się dało, skonstatowałem jeszcze, że jest farba na miejscu strzału, i po ciemku już wróciłem do obozowiska“.

Tak się skończyło spotkanie porucznika ze słoniami. Postrzelony słoń farbował mocno, hr. Teleki poszedł więc następnego dnia za farbą na tysiąc kroków, rozpoznał, że postrzałek odłączył się od swych towarzyszy, lecz dalej nie mógł go już śledzić, bo tropy gubiły się w skalistym terenie.

KORESPONDENCYE.

Szepetówka w marcu.

(Z lasów szepetowieckich).

Chociaż dzisiejsze polowania na dzika nie są tem, czem były dawniej i nie przedstawiają tego niebezpieczeństwa, z jakiem dawne łowy na „potężnego odyńca“ były połączone, niemniej przewyższają one o wiele zdawkowe pukanie do zajęcy.

Dawniej mawiano u nas: „gdy idziesz na niedźwiedzia, szykuj sobie łoże, a gdy na dzika — mary“. Było to jednak wówczas, gdy niezdarny samopał i broń skałkowa, wyłaniały się dopiero z kolebki, a na dzika polowano najczęściej z psami i oszczepem, i wśród prawdziwej walki zadawano mu śmierć, narażając się samemu na niebezpieczeństwo. I przypuszczamy, iż taką jest geneza poniekąd niezrozumiałego dziś przysłowia. Obecnie poluje się na dzika wygodnie, najczęściej strzela go się przed naganką, z wybornej broni odtylcowej i dalekonośnej, a dzik przed ludźmi tak ucieka, jak płochliwa sarna i bywa tylko groźnym, jeżeli jest rozjuszony przez psy, lub postrzelony, gdy się go dochodzi.

Wiek nasz pod względem zadawania śmierci zrobił postępy olbrzymie; wprawdzie epiczna poezya bitew i łowów wiele na tem straciła — ale wszelkie rozprawy odbywają się szybko i ze zdwojoną liczbą ofiar.

Pomimo udogodnienia i poniekąd asekuracyi, jaką przedstawiają dzisiejsze polowania na dzika, łowy tego rodzaju, jak już nadmienililiśmy, przewyższają stokrotnie strzelaninę do drobnej zwierzyny.

Dzik w lesie wygląda imponująco, a wyobraźnia, owa najpotężniejsza zaprawa polowania, robi go prawie fantastycznym, gdy się go z bijącem sercem wyczekuje.

Wyłączne polowanie na dziki jest u nas rzeczą bardzo rzadką i prawie trudnem jest do uwierzenia, aby się mogło stać treścią kilkodniowych łowów. Takiemi jednak są polowania w gub. wołyńskiej w rozległych a wspaniałych lasach szepetowieckich hr. Józefa Potockiego. Lasy te, utrzymane we wzorowym porządku i administrowane wybornie przez ogólnego nadleśnego, p. Bidermana, są równie ochraniane, jak znajdująca się w nich zwierzyna. Zwierzostan składa się przeważnie z mnóstwa dzików, rogaczy i sarn; zające, jak zwykle w bardzo dużych kniejach, są rzadkie. Polowania odbywają się co lat parę, ale wówczas tak gospodarz, jak i goście przezeń zaproszeni doznać mogą prawdziwej przy-

jemności i np. w 1888 r. zabito 64 dzików, pomiędzy któremi znajdowało się 9 potężnych odyńców.

Znając z reputacyi rezultaty świetnych polowań szepetowieckich, z prawdziwą przyjemnością podążałem na mające się odbyć łowy w dniach 16., 17. i 18. lutego. W Szepetówce zastałem nie bardzo liczne ale złożone z wytrawnych myśliwych grono, a mianowicie: hr. Ksawerego Branickiego, hr. Tomasza Zamoyskiego, hr. Augusta Zamoyskiego, pułkownika angielskiego Montegut Gerarda, hr. Jana Floryana Zamoyskiego, hr. Zdzisława Tarnowskiego, Ks. Stanisława Lubomirskiego, ks. Zdzisława Lubomirskiego i p. Zdzisława Skrzyńskiego.

Przyjechałem już po pierwszym dniu polowania, w którem padło kilka dzików, kozłów i parę lisów. Należy jednak zdefiniować, czem jest dzień polowania w Szepetówce, który właściwie redukuje się do 4—5 miotów; albowiem wyjeżdża się po wczesnem drugiem śniadaniu i właściwe polowanie zaczyna się dopiero około 12-ej. Sama organizacya polowania wzorowa. Liczna naganka, pod przewodnictwem konnej straży leśnej, przewożoną jest z jednego zakładu na drugi na saniach, a gdy kilka wielkich sani, nabitych szczelnie chłopami w ciemnych siermięgach, rusza szybko kłusem i i krzyżują się sygnały i rozkazy leśniczych, ma się przez chwilę złudzenie, jakby jakiejś wyprawy wojennej; obraz taki na wysokopiennem tle lasu przedstawiaćby mógł wyborny wzór do szkicu rodzajowego. Nie pamiętam, abym coś w tym rodzaju pomiędzy licznie reprezentowanemi scenami myśliwskiemi widział na naszych wystawach.

Mioty zwykle są brane dość duże, naganka idzie bardzo cicho, od czasu do czasu nawołując tylko głucho, zwyczajnie, jak na grubego zwierza. Czasami tylko już blisko linii strzelców, gdy dziki starały się przerznąć przez obławę, wówczas powstawał niesłychany harmider, krzyżowały się krzyki, aby je zawrócić. Na flankach obławy postępowali równomiernie naganiacze z chorągiewkami, których zadaniem było nie przepuszczać w bok zwierza.

Mniemamy, że jednym z głównych uroków polowania jest nietylko sama zwierzyna, ale tło, przyroda, wśród której łowy się rozgrywają. Gdyby nie polowanie, może wielu ludzi nigdyby się tak nie zbliżyło do natury, jak się do niej zbliża. Nie rozumiałem też nigdy przyjemności strzelania do gołębi (jeżeli idzie tylko o grę, można równie dobrze strzelać i do martwych przedmiotów), jak nie rozumiem przyjemności gonienia zwierząt, wypuszczonych z klatki. Aby polowanie było polowaniem, musi się odbywać wśród surowych, ale wspaniałych i dzikich gąszczów leśnych i musi pociągać urokiem niepewności i tajemniczości; wówczas tylko ów instynkt strzelania do pomykającej zwierzyny może być u człowieka cywilizowanego wytłómaczonym. Zdobycz bowiem jest niełatwa i hazardownie na nas rzucona.

Piękność przyrody, na myśliwych, nie będących do szpiku myśliwymi, może jednak czasami oddziaływać nadto odurzająco i wyznaję, że wsłuchany w szmer lasów szepetowieckich, które uzmysłowić sobie można, jak obraz puszczy Grotgerowskiej, przepuściłem kilka kozłów, a dopiero ich galop po zmarzniętym śniegu budził mnie z zadumy, gdy już były za daleko..

Rezultaty trzydniowych polowań, a właściwiej piętnastu miotów, wypadły świetnie, zabito bowiem 21 dzików, 20 rogaczy, parę lisów, zajęcy, jarząbków i wspaniałego orła. Najwięcej szczęścia miał hr. Ks. Branicki, który zabił 7 dzików, w tem olbrzymiego, starego odyńca, 2 rogacze i orła. Orzeł zabity był w niezwykłych warunkach, albowiem hrabia widział ze swego stanowiska, jak ścigał lisa i spuszczał się nań, starając pochwycić w szpony, a gdy podleciał znów w górę, hrabia celnym strzałem kulą zabił go na miejscu.

Hrabia August Zamoyski zabił również wielkiego odyńca, lochę i na jednem stanowisku 4 rogacze oraz jarząbka kulą. Hr. A. Zamoyski znany jest jako wytrawny myśliwy na dziki i u siebie często poluje na nie z psami, a psy jego rozciągają wycinki, które on dobija kordelasem. Swoją psiarnię, złożoną z najrozmaitszych okazów brytanów i mieszańców z ogarami, sprowadził hrabia do Szepetówki, nie widziałem jej jednak czynnej, gdyż puszczenie jej było trudnem przy licznej nagance i byłoby bardzo zlokalizowało polowanie.

Hr. T. Zamoyski zabił dwa dziki, rogacza i dwa zające (kulami).

Hr. Tarnowski — odyńca, trzy dziki i dwa rogacze. P. Skrzyński — trzy dziki i lisa. Pułkownik Gerard *) dzika i dwa rogacze. Hr. J. Potocki — dzika i trzy rogacze. S. Wotowski — dzika i rogacza. Ks. S. Lubomirski dwa rogacze. J. hr. Zamoyski — dwa rogacze i dwa jarząbki.

Zaiste fantastyczny widok przedstawiało podwórze pałacyku szepetowieckiego w nocy przy oświetleniu elektrycznem, gdy rozwieszona na wysokich sztangach, wśród mgławego światła rysowała się w zwiększonych jeszcze rozmiarach ciemna masa zabitej zwierzyny.

Następujących dni, to jest 20., 21. i 22. lutego zabito jeszcze 38 dzików, 16 rogaczy, oraz kilka sztuk drobnej zwierzyny.

Wynik ogólny z sześciu dni przedstawia się jak następuje. Ubili: p. Gerard (11 strzałów) wycinka, warchlaka, i 2 rogacze; ks. St. Lubomirski (28 strzałów) 3 warchlaki, 4 rogacze; ks. Zdzisław Lubomirski (14 strzałów) 2 warchlaki, rogacza i zająca; p. Zdzisław Skrzyński (14 strzałów) 2 lochy, 2 warchlaki, lisa i zająca; August hr. Zamoyski (17 strzałów) odyńca, 2 lochy, 2 warchlaki, 5 rogaczy, 2 jarząbki; Tomasz hr. Zamoyski (20 strzałów) odyńca, 2 warchlaki, 3 rogacze, lisa, zająca i jarząbka; Floryan hr. Zamoyski (24 strzałów) odyńca, lochę, wycinka, 3 warchlaki, 2 rogacze, 2 jarząbki; Zdzisław hr. Tarnowski (53 strzałów) 2 odyńce, 3 lochy, 5 warchlaków, 3 rogacze i zająca; Ksawery hr. Branicki (40 strzałów) 3 odyńce, 3 lochy, 2 wycinki, 2 warchlaki, 7 rogaczy, zająca, jarząbka i orła; St. Wotowski (6 strzałów) warchlaka i rogacza; Andrzej hr. Potocki (2 strzały) 1 lochę (skłutą) i rogacza; Józef hr. Potocki (19 strzałów) warchlaka, 7 rogaczy, lisa, 2 zające i jarząbka. Razem padło 247 strzałów i 104 sztuk zwierzyny.

Takie polowania, jak w Szepetówce, należą u nas pod każdym względem do niezwykłych.

S. W.

Kijów w marcu.

(Wystawa psów. — Wypadek na polowaniu).

Jedną z ciekawszych rzeczy, któremi urozmaicono w tym roku dość nudne zresztą kontrakty, była wystawa psów, urządzona w „Chateau des fleurs“. Zgromadzono na niej bardzo ładne gatunki różnych ras. Największą uwagę zwracały na siebie oczywiście psy myśliwskie, wystawione nietylko przez miejscowych amatorów łowiectwa, lecz nadesłane także z prowincyi. Za najpiękniejsze uznano psy do polowa-

*) Jest to ten sam pułkownik Gerard, o którym wspomina hr. Józef Potocki w swych „Notatkach myśliwskich z Indyj“, obecnie attaché wojskowy przy ambasadzie angielskiej w Petersburgu.

nia *par force*, będące własnością hr. Branickiej, złaja gończych i trzy huntery. Podobały się również gończaki bar. Wrangla, ks. Szachmatowa, bar. Steigela i p. Ćwietkowa. W grupie pointerów odznaczały się psy pp. Lewickiego, Słowatyńskiego, Jelicza i bar. Steigela, między gordonami zaś okazy, będące własnością pp. Struwego i Konara. Za niektóre psy ofiarowywano znaczne kwoty; kilka sprzedano po cenie aż do 400 r. s.

Oprócz psów były też na wystawie dwa chowane niedźwiedzie, które sprzedano za 300 rubli i 4 daniele.

Nie małe wrażenie wywołał tu zagadkowy wypadek śmierci hr. Stefana Ledochowskiego na polowaniu, które w d. 23. lutego na wilki w Stawiszczach się odbywało. Śp. hr. Ledochowski, człowiek jeszcze młody i w pełni sił, liczący zaledwie 43 lat życia, zarządzał dobrami hr. Branickiego. Sam był właścicielem części Pugaczówki w powiecie taraszczańskim, wdowcem i ojcem czworga drobnych dzieci. W dniu, w którym go dościgła śmierć niespodziewana, czy nazajutrz, wybierał się właśnie na kontrakty do Kijowa, lecz wziął jeszcze udział w obławie na wilki, którą urzędnicy dóbr Stawiszcze urządzili. Po wzięciu kilku miotów zauważyli myśliwi nieobecność hrabiego. Zaczęto nawoływać, szukać, i wreszcie znaleziono go niedaleko stanowiska, które był zajął, siedzącego na pniu z piersią przestrzeloną. Do samobójstwa nie było najmniejszych powodów, owszem z położenia strzelby wywnioskowano, że musiała wypalić wskutek nieostrożnego zawadzenia o kurek i ugodziła śmiertelnie nieszczęśliwego. *J. W.*

Z Podola w marca.

(Nieróżowe poglądy).

W numerze 3. „Łowca" przeczytałem sprawozdanie z polowania, które się odbyło w dniach 16. i 17. stycznia w Horodnicy, napisane przez jednego z uczestników tego polowania. Ponieważ brałem w niem także udział, śmiem więc w innej barwie przedstawić niektóre szczegóły.

Pisze szanowny korespondent, opowiadając epizod z wilkiem, że tenże zwrócił się nazad w miot, gdyż zapewne wydał mu się podejrzanym kożuszek „koloru różowawego" jednego z myśliwych. Otóż z wszelką pewnością utrzymuję, że na tem polowaniu nie było kożuszka, „koloru różowawego" ponieważ w naszych stronach nietylko na polowania, ale nawet na bale maskowe różowych kożuszków nie używają.

Dalej robi szanowny korespondent bardzo trafną uwagę, że grabów w lesie jest wiele, a wilk był tylko jeden, więc nic dziwnego, że kula, którą posłał za wilkiem ów pan w „różowym kożuszku", trafiła w jeden z tych licznych grabów, a nie w owego jedynego wilka, w czem rzeczywiście nie można jej się dziwić, jak to sam szanowny korespondent przyznaje. Mnie zaś mniej różowym a bardziej dziwnym wydaje się ten fakt, że znalazł się doświadczony myśliwy bez różowego kożuszka, który mając 7 dzików obciętych w kilkunastomorgowej sośnince, wyciągnął kule i nabił strzelbę śrutem, gdy zobaczył szarżującego na siebie zająca. Trudno przypuścić, żeby ów myśliwy wziął szaraka za warchlaka, zwłaszcza, że wszystkie prawie dziki na owem polowaniu były siwe, lecz szanowny korespondent widzi snać wszystko w różowych kolorach, więc i to mogło mu się przytrafić. *J. C*

KRONIKA.

Pierwsze słonki. Hr. A. Wodzicki z Olejowa donosi nam, że już w dniu 14. marca widział pierwszą ciągnącą słonkę. O dalszych większych ciągach nie mamy jeszcze żadnych wiadomości. Zdaje się że nadeszłe tymczasem śniegi i mrozy powstrzymały wędrowną armię długodziobów.

D. 23. marca strzelano słonkę w Lisienicach pod Lwowem.

Niedźwiedzica na wystawę. Hr. Zdzisław Tarnowski, wróciwszy z Litwy, pisze do sekretarza naszego Towarzystwa łowieckiego p. W. Zontaka: „Wracam z polowania, na którem zabiliśmy ośm niedźwiedzi i trzy młode z gawry wzięli. Czyniąc zadość wyrażonemu życzeniu, ofiaruję Panu piękną starą niedźwiedzicę do wypchania na wystawę".

Ładnego wilka do wypchania na wystawę nadesłał radca lasowy p. E. Ziegelbauer. Bodajby wszyscy myśleli o tem, ażeby naszą najbliższą wystawę łowiecką jak najpiękniejszemi okazami wzbogacić!

Ryś ubity. Z Pacykowa donoszą, że w lasach tamtejszych zastrzelono rysia, samca, należącego do pięknych okazów, gdyż długości przeszło metr, a wysokości 64 ctm. Jestto jeden z czterech rysiów, które w ubiegłej zimie, w lasach Łysieckich i Pacykowskich do kilkadziesiąt sztuk sarn zniszczyły.

Przygoda z dzikiem. W dniu 25. lutego polowano na dziki u p. H. de R. w Cieleśnicy w Królestwie polskiem; myśliwych było 4, zabito 2 maciory i odyńca. Pościg odyńca rozpoczął się o godzinie 11-ej rano. Dwa psy hr. G. i dojeżdżacz ciągle prześladowali dzika; to też ten, prawie bez odpoczynku, przebiegł parumilową przestrzeń różnemi drogami. Zmęczony, a przytem postrzelony przez dojeżdżacza, okazał się niezwykle złośliwym; wyszedł z lasu na pole i tu rzucał się jak żmija, na wszystko, co spotkał po drodze. Pierwszych napotkał 3 chłopców, jadących sankami po drzewo, szarżował więc na nich z dziwną odwagą i gdyby nie dobre konie, byłby ich pewno pokaleczył; a może ocalił wieśniaków lód, po którym dziki prędko biedz nie mogą. Z pola odyniec powędrował do sąsiednich lasów sosnowych bardzo zwartych, lecz psy i dojeżdżacz na chwilę go nieopuszczali, a myśliwi saniami przecinali mu drogę. Tu padły dwa strzały, lecz od bardzo mało doświadczonych myśliwych; to jeszcze bardziej rozjuszyło dzika. Z zapienionym pyskiem wyskoczył na gościniec szeroki, prowadzący z Janowa do Cieleśnicy, a widząc idącego człowieka, rzuca się na niego, powala na ziemię i zadaje trzy cięcia, kalecząc silnie. Znowu padły trzy strzały, ale że nietrafne, więc strzelcy na drzewach szukali ocalenia; dzik zaś fukał i deptał pod drzewami, na których zaczepieni byli niefortunni myśliwi. Trudno, a nawet niepodobna wyliczyć wszystkich epizodów tego polowania. Dojeżdżacz kilka razy musiał uciekać pełnym galopem, aby się ocalić przed szarżującym dzikiem Panika zapanowała pomiędzy wielu myśliwymi, dojeżdżacz utrzymywał: „że to albo zaczarowany dzik, albo jakie złe". Pościg trwał do późnego wieczora, dzik nie chciał wyjść z gęstwiny, a iść do niego w zagajnik byłoby czynem arcylekkomyślnym. Samym dopiero zmrokiem zbliżył się nieco do drogi i tu padł pod celnemi strzałami hr. G. i gospodarza, H. de R.

Wilczą zimą możnaby nazwać słusznie ubiegłą zimę, tak była srogą i tak wiele wilków wyprowadziła na jaw w miejscowościach, gdzie ich przedtem nie bywało lub rzadko się tylko pojawiały.

Wspominaliśmy już o Bukowinie i pojawianiu się wilków w Galicyi, lecz jeszcze obfitszą jest wilcza kronika Rosyi. Pod samą Moskwą napadły wilki mleczarza jadącego do miasta, a uratowanie swe zawdzięcza tylko źrubakowi, który biegł przy koniach, bo wilki,

zajęte napadem i rozszarpaniem żrubaka, ułatwiły mu ucieczkę. Na jedno z przedmieść Moskwy dostał się wilk aż na podwórze przedmieszczanina i został tam zatłuczony. Toż samo we wsi Diutkowa w gubernii moskiewskiej ubił chłop na własnem podwórzu wilka, który, korzystając z zaspy, dostał się przez ogrodzenie i rozdarł siedm owiec.

Sroga zima, popisująca się niejednokrotnie mrozami do 30° C, tak dalece dokuczała zwierzynie, że z głodu i zimna cisnęła się do miejsc zamieszkanych. Dnia 3. lutego widziano w Petersburgu na Newskim Prospekcie lisa, a trzy dni przedtem innego na promenadzie pałacowej. Do ogrodów miejskich kryły się zające, a niedaleko instytutu leśnego widziano łosie.

Z pod Dorpatu piszą, że w mrozie dochodzącym do 28 i 29° R. znajdywano na śniegu wrony z zamarzniętemi skrzydłami, niezdolne do lotu, które następnie ginęły.

Właściciele pszczół ponieśli wielkie straty, gdyż nawet w ciepłych stebnikach nie dały się pszczoły z powodu mrozów przy życiu utrzymać.

Z Węgier są także liczne wiadomości o pojawiających się wilkach. W okolicach Wacowa bali się chłopi wychodzić z chat, gdyż wilki napadały na ludzi. W okolicy Szabadki wpadły wilki do zagrody włościańskiej, gdzie zażarły siedm jagniąt i psa pasterskiego. We wiosce Bikies w Slawonii rozdarł wilk w biały dzień dziecko siedmioletnie, a następnej nocy wpadły wilki do obejścia włościańskiego i wyciągnęły z obory dwoje cieląt.

Tożsamo między Aradem i Pecską pojawiały się wilki tak licznie, że czyniły komunikacyę niebezpieczną.

Wystawa łowiecka i wystawa psów odbędzie się w Monachium w miesiącu czerwcu b. r. Wystawa obejmuje następujące działy: I. Psy i zwierzęta łowne. II. Literatura i dzieła sztuki, odnoszące się do myśliwstwa. III. Wypchane okazy zwierząt. IV. Historya łowiectwa. V. Trofea myśliwskie. VI. Broń myśliwska. VII. Rynsztunek myśliwski.

Bastardy psa i wilka. *Canis lycaon* — czy bastard z psa i wilka? Pytanie to poruszył niedawno temu hr. Józef Potocki przy sposobności ubicia czarnego wilka w lasach Czerniatyńskich. Za zapatrywaniem hrabiego, iż dzikie bastardy wilka i psa trafiają się czasem, przemawia wypadek następujący: W Letteniku w Kroacyi, na obławie, która się ubiegłej zimy odbyła, ubito wilka i trzy zdziczałe psy. Bliższe oględziny tych psów wykazały, że wszystkie były czarne, o wilczej budowie głowy, z słuchami zaokrąglonemi, przypominającemi psa, ogon krótkowłosy, długi, który w biegu był wzniesiony. Szły one w jednym rudlu z rzeczywistym typowym wilkiem, którego także ubito, i dwoma innemi, czarnemi sztukami pod wodzą starej wadery. Strzelone nie wydały żadnego głosu. Były to więc niewątpliwie bastardy po wilczycy i psie. Oznaczenie takie stwierdził profesor Brussina na uniwersytecie w Zagrzebiu.

Oddziały myśliwskie istnieją od pewnego czasu w armii rosyjskiej. Jednemu takiemu oddziałowi, stacyonowanemu w Cziskend (w okręgu Syr-Darja), nie poszczęściło się tej zimy. Naczelnik oddziału dał rozkaz do wymarszu na polowanie w góry Karatawskie, choć zanosiło się na zawieruchę, i choć podwładni oficerowie ośmielali się zwrócić mu uwagę, że wyprawa w taki czas jest niebezpieczną. Ale rozkaz, rozkazem — wyruszono, a w wyprawie wzięli udział: naczelnik, dwóch oficerów, 12 ludzi i kilkanaście psów. Przepowiednie oficerów wkrótce sprawdzać się zaczęły. Oddział ledwie o kilka mil był od swej stacyi, gdy burza się zerwała. Oficerowie z ośmiu ludźmi i zwiększą częścią psów uzyskali od naczelnika pozwolenie do odwrotu, lecz on sam — nazwiska jego Ikonnikow — uparł się iść dalej. Poszedł z kirgizem, znającym drogę, z 4 ludźmi i z kilkoma psami. Oficerowie wrócili do swej stacyi. Minęło dwa dni, wśród których szalała śnieżyca. Naczelnik jednak nie wrócił. O szukaniu jego można było dopiero trzeciego dnia pomyśleć, gdy burze ucichła. Po długich szukaniach znaleziono Ikonnikowa w cichym parowie gór Karatawskich. Karabin miał w ręku — bez ducha — jedna bryła lodu. Ciała jego strzegły psy wytrzymalsze na zimno, a na około było mnóstwo tropów wilczych. W pobliżu klęczał jeden z żołnierzy — druga bryła lodu, a za nim w dali sterczały pagórki wśród śniegu — reszta żołnierzy. Jeden tylko kirgiz wyszedł z wyprawy cało. Powrócił do stacyi w kilka dni, gdyż wśród owej strasznej nocy zabłąkał się do osady, odległej o kilkanaście mil.

Oj cywilizacyo! Rozpaczliwy ten okrzyk wydziera nam sprawozdanie ogrodu zoologicznego w Dublinie, gdzie się utworzyła formalna pepiniera lwów. Wszystko schodzi na psy! Straszliwi wodzowie czerwonoskórych połykają ogień w cyrkach ku uciesze publiczności, a król i królowa pustyni nie wstydzą się już wydawać salonowe potomstwo poza kratami klatek.

W dublińskim ogrodzie zoologiczn m rozpoczęto „chodowlę“ lwów w r. 1857. W ciągu trzydziestu lat miewano co roku w przecięciu po 5 młodych lwów, które pochodziły od 6-u lwów i 10-u lwic. Między lwami odznaczył się szczególniej „Old Charley“, który wydał 47 potomków w niewoli; w księgach rodowych „Natala“ zapisano 42, a „Paddy'ego“ 31 młodych. Z pomiędzy królewskich małżonek „Old Girl“ powiła 55, „Queen“ 28, a „Anonyma“ 20 dziatek w niewoli Między 159 młodymi znalazło się 85 samczyków a 74 samiczek, które przyszły na świat przy 43 okoceniach, świadczących, że w niewoli, wzmogła się nawet płodność lwic. W dwóch wypadkach było po 6 sztuk, w ośmiu po 5, w siedmnastu po 4, w dziewięciu po 3, w pięciu po 2. a w dwóch wypadkach po 1 młodemu. Największa część okoceń przypadała na miesiące kwiecień-maj i na wrzesień-październik. Z potomstwa tego zginęło zaraz po okoceniu 30 sztuk, a 12 w ciągu pierwszego roku życia. Z innych pozostawiono 8 w ogrodzie, a 109 sztuk sprzedano za 80.000 marek. To tłumaczy nam te gromady lwów w cyrkach europejskich, lwów bardzo uprzejmych, które nigdy pustyni nie widziały.

Niezwykły orzeł. Znana śpiewaczka operowa Lilli Lehmann-Kalisch opowiada w *Gefiederte Welt* ciekawe szczegóły o orle rybołowie, którego jej z gniazda pisklęciem przyniesiono, gdy przebywała w kąpielach w Ahlbeku. Odkarmiwszy tego orła surowem mięsem, ułaskawiła go śpiewaczka do tego stopnia, że choć już był lotny i daleko od domu odlatywał, a czasem i noce poza domem przepędzał, zawsze nad ranem stawiał się i krzykiem „ibihibi!“ upominał się po za oknem o żer. W wycieczkach tych i zabawach towarzyszyła mu również ułaskawiona kawka. Imitując głos rybołowa, nazwała go Lilli „Ibichem“. Na wołanie Ibich! przylatywał też do niej, a w godzinach popołudniowych sypiał koło niej. Śpiewaczka opowiada, że pewnego razu, gdy razem z znajomymi siedziała na dworze koło Heringsdorfu, ujrzała wysoko w powietrzu dużego ptaka. Przyszło jej na myśl, czy to nie jej rybołów, zawołała więc: Ibich! i ptak, spuściwszy się z powietrza, usiadł jej na podołku. Śpiewaczka jest tak przezorną, że w tej części swego opowiadania powołuje się na świadków (choć ich nie wymienia), gdyż w istocie taki stopień obłaskawienia u orła jest nadzwyczaj wyjątkowym.

Wróciwszy do Berlina, oddała Lilli i orła i kawkę dr. Bodinnsowi do ogrodu zoologicznego, lecz obie te ukochane istoty, które często odwiedzała, wkrótce tam zginęły.

Olbrzymi jesiotr. D. 22 grudnia z. r. pod Gyonguö w Raabskim komitacie, łowili włoczkowie ryby w Dunaju. Już ściągali włok ku brzegowi, gdy wtem trafili na zaporę i nie mogli dalej ruszyć. Wtedy jeden z włoczków, madjar imieniem Fekete, puścił się na łódce wzdłuż włoka i ujrzał coś jakby beczułkę wystającego nad wodą. Przybliżywszy się rozpoznał, że to łeb jakiejś olbrzymiej ryby, która paszczę otworzyła. Nie namyślając się wiele, wziął Fekete postronek, który miał przy sobie, sięgnął gołą ręką do paszczy i przewlókł sznur pod skrzele, jak nitkę przez uszko od igły. Operacya się udała: włoczek zawiązał guz i z drugim końcem sznura popłynął ku brzegowi. Pokazało się że złapana w ten sposób ryba jest olbrzymim jesiotrem, którego dopiero czterej chłopi przy pomocy improwizowanego lewara, zdołali żywcem na brzeg wyciągnąć. Zaklinowany swą płetwą ogonową w sieć, nie mógł się biedy jesiotr ruszyć, a zmęczony gwałtownemi rzutami, osłabł, zatarasował sobą włok i dał się tak haniebnie ułowić.

Wydobytego na brzeg jesiotra, owinęli matami i obwiązali sznurkami jak kłodę, a następnie wysłali go koleją do Wiednia. I, o dziwo! biedny jesiotr zniósł tę suchą podróż i żywy jeszcze przez trzynaście dni prezentował się w dużej kadzi Wiedeńczykom za pieniądze.

Gdy już nie obiecywał dłużej pociągnąć, zabito go, wypatroszono, nadziano śniegiem i tak jeszcze był jakiś czas za pieniądze pokazywany. Dokładne pomiary wykazały, że jesiotr ów był na 3·16 metrów długi, a w najgrubszem miejscu miał 1·66 metr. obwodu. Wnętrzności ważyły 94 kilogramów, a dobyto z nich 40 kilogramów czystego kawioru.

U ujść Dunaju i innych rzek Czarnomorskich łowią wprawdzie znacznie większe jesiotry, lecz okaz powyższy, jak na górnym biegu Dunaju, zaliczyć wypada do osobliwości.

Kawior z ikry szczupaka i karpia. Czytamy w Okólniku Nr. 7. galic. Tow. rybackiego: Dobry kawior można uzyskać z ikry karpia i szczupaka, złowionych na kilka tygodni przed tarłem, dopóki ikra nie jest całkiem dojrzałą, gdyż wówczas staje się miękką i niesmaczną. Ikrę wyprutą z ryby należy pokrajać w grube kawałki i przecierać lekko przez odpowiednie sito włosienne lub metalowe do podstawionego suchego naczynia. Dziurki w sitku mają być na 2—3 mm. dla ikry szczupaka, a 1 mm. dla ikry karpia. Ikra przetarta zbierze się w podstawionem naczyniu, a błony ikrę otaczające pozostaną na sitku. Następnie soli się ikrę bardzo miałką solą w stosunku 1 części wagi na 20 do 30 części wagi ikry, miesza należycie widelcem drewnianym i kawior już jest gotowy do użycia. Kawior taki ma kolor żółty lub żółtawoczerwony, jest bardzo smaczny, nie da się jednak dłuższy czas przechować.

Korzyści hodowli węgorza. Publikacye Towarzystwa rybackiego dla Prus wschodnich i zachodnich, podają następującą wiadomość o korzystności hodowli węgorza, na podstawie doświadczenia, zrobionego przez p. Nehrkorn-Riddagshausena. Przy wyłowieniu maleńkiego stawku, do którego wpuszczono przed kilku laty 500 węgorząt, znaleziono 250 węgorzy pół-dwu- i trzech-funtowych. Na zakupno narybku wydano 6 marek, węgorze zaś wyłowione sprzedano za 200 marek, prócz tego 50 niewyrośniętych, a wskutek tego niesprzedanych węgorzy miało wartość 20 marek; tak, że kosztem 6 marek na maleńkiej przestrzeni zyskano 220 marek.

Żaba jako tępiciel karpi. P. Ernest Giebner, hodowca ryb w Bielsku, opowiada co następuje:

W stawku karpiowym stała żaba nieruchomo na płytkiej wodzie z oczami zwróconemi ku miejscu, gdzie swobodnie igrała gromadka młodych karpiąt; nagle żaba zrobiła szybki ruch, pochwyciła i połknęła karpika, a karpięta rozpierzchły się na wszystkie strony. Po schwyceniu żaby i zbadaniu treści żołądka, okazało się, że znajdowało się w nim siedm karpiąt na cal długich, z których jeden jeszcze był żywy.

To spostrzeżenie poczynione kilkakrotnie wykazało niezbicie, że żaba zjada narybek karpia, i w ciągu 24 godzin może zjeść około 60 trzy do czterotygodniowych karpiąt. Żaba najbardziej jest żarłoczną przed snem zimowym i po obudzeniu się z takowego. Żaby tępić można najlepiej, wyciągając ikrę żabią ze stawu na brzegi i wysuszając ją na powietrzu; ikra wysuszona nie rozwija się dalej, wskutek czego rozmnażanie się żab ustaje.

Mowa małp. Podawaliśmy już kilka razy wiadomości o studyach prof. Garnera w Ameryce nad mową małp. Bada on dźwięki głosu małpiego za pomocą fonografu i stara się je w szereg najpierwotniejszych wyrazów i pojęć zestawić, a nadto czyni próby z szympansami i orangutanami, ażeby je uczyć mówić wyrazami przez ludzi używanemi. Oto ustęp z listu, który Garner pisze z Afryki zachodniej, z Sierra Leone, pod d. 16. września z. r. do swego brata:

„Skutek przeszedł najśmielsze moje marzenia. Posiadam tu obecnie szympansa wymawiającego „Tena koe Pakeha", co w narzeczu Maori oznacza: „Dzień dobry cudzoziemcze", dalej goryla umiejącego dwadzieścia słów narzecza Fijani, a wreszcie samiczkę orangutana, która od mojego służącego, Niemca, bardzo przez nią lubianego, wyuczyła się klątwy niemieckiej: „Donner und Blitz!" Co jednak ważniejsza, żem spisał już wiele wyrażeń małpich. Oto niektóre próbki: „Achru" — oznacza słońce, ciepło, ogień; „Rukcha" — znaczy: woda, zimno, a nadto oznacza w ogóle coś nieprzyjemnego; „Goshku" wreszcie: jadło, pożywienie. Możesz z powyższego łatwo wnioskować, że jest to bardzo pierwotna mowa, posiada bowiem nie więcej nad 20 do 30 wyrazów, które wszystkie mam już zanotowane, a tem samem praca moja pod względem praktycznym ma się już ku końcowi". Profesor opowiada dalej o wycieczce swojej do dziewiczego lasu, gniazda małp, o 120 mil od wybrzeża.

„Baterye moją — pisze — ustawiłem wraz z fonografem i obracającem się zwierciadłem w krzakach bananowych, a sam ukryłem się o 50 do 60 metrów od tego miejsca. Poruszające się i błyszczące zwierciadło zwabiło zaraz mnóstwo małp bełkoczących z zachwytu i podziwu. Obserwowałem je przez godzinę z ukrycia, a następnie począłem się zbliżać. Gdy mię zobaczyły, umknęły wszystkie, z wyjątkiem jednego szympansa, który spoglądał w zwierciadło szeroko rozwartemi oczyma, drżąc na całem ciele, ale pomimo mego zbliżenia nie ruszał się wcale z miejsca. Zaledwie mogłem oczom uwierzyć: szympans był zahypnotyzowany! Gardłowym głosem począł wymawiać: „Achru", dźwięk, który nieraz jeszcze później chwytałem do mego fonografu. Bez trudu zapakowałem zahypnotyzowaną małpę do klatki bambusowej i po godzinie drogi spostrzegłem, iż ciągle jeszcze znajduje się pod wpływem hypnotyzmu. Otrzeźwiłem ją wówczas mocną dozą amoniaku, poczem stawiłem przed jej oczy zapaloną świecę. Odezwała się znowu „Achru", a dalsze eksperymenty przekonały mię, że to oznacza: ciepło, światło itp."

W końcu swego listu zapowiada prof. Garner, iż słownik podsłuchanej przez siebie mowy małpiej ma niebawem oddać do druku.

Także sprawozdanie łowieckie. Niemiecka dokładność jest przysłowiową. Wydała ona w jednem z niemieckich pism łowieckich następujące sprawozdanie z polowania: „Nie ubito nic i nie spudłowano nic, wydano 16 marek na nagonkę i zgubiono jednego psa po drodze. Weidmannscheil!"

Redakcya „Łowca" ma jeszcze mały zapas kompletnych roczników z r. 1892 i sprzedaje rocznik broszurowany za 3 zł, 50 ct. w. a.

Tych szanownych Członków gal. Towarzystwa łowieckiego, którzy jeszcze dotąd z wkładką za rok 1893 zalegają, uprasza Sekretaryat Towarzystwa o jak najrychlejsze wyrównanie zaległości.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Kopernika 30.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.